Cena 10 groszy.

Rok III. Lwów, dnia 3 maja 1938 r. Nr 18

Nasza Praca

Tygodnik dla wsi.

W DNIU 3-GO MAJA.



Szkoła TSL w Potyliczu pow. Rawa Ruska

Dzień 3 Maja został w wolnej Polsce uznany za dzień święta państwowego.

Nawiązujemy przez to święto do czasów przedrozbiorowych, wiążemy Polskę dzisiejszą z Rzecząpospolitą z przed okresu niewoli, nawiązujemy do tradycji duchowego odrodzenia Narodu z końca 18 wieku, do wielkiej przemiany ustroju Rzeczypospolitej.

Dzień 3 Maja stał się wszystkim nam tym bliższy i droższy, że jest on dniem święta oświaty, kulturalnego postępu naszego narodu, dniem powszechnej ofiary na Dar Narodowy 3 Maja, na którym opierają swoją pracę nasze społeczne instytucje oświatowe. Na naszych ziemiach instytucją taką jest T. S. L., — żywy pomnik Konstytucji 3 Maja, organizacja oświatowa, która zamyka w 1938 roku 47 rok swojej działalności.

Można śmiało powiedzieć, że świat cały — a z nim i Polska — znajduje się w okresie głębokich przeobrażeń, może daleko głębszych, aniżeli te przemiany, jakie przeżywała Europa z końcem 18 i w ciągu 19 wieku.

Wiele trzeba nam dzisiaj oświaty, ogromny musi być wysiłek podejmowany i przez państwo i przez społeczeństwo w tym kierunku, by naród polski w najszerszych swoich masach stał kulturalnie tak wysoko — aby znalazł swoją prawdę, swoje dziejowe przeznaczenie i umiał je zrealizować.

Wszak gospodarcze czy polityczne różnice poszczególnych grup nie mogą być silniejsze — aniżeli poczucie wspólnoty narodowej, oparte na naszej tysiącletniej kulturze.

A trudno mówić o odrębnej kulturze wiejskiej i miejskiej, pańskiej i chłopskiej czy robotniczej.

Wszak w naszym skarbie literatury narodowej duch Mickiewicza, Sienkiewicza, Reymonta czy Żeromskiego przemawiają swoją myślą



i pięknem do wszystkich — są własnością całego narodu.

A obrazy Matejki, Wyspiańskiego czy lwowska Panorama Racławicka przemawiają i zawsze przemawiać będą do duszy każdego Polaka.

Wszak nauka, oświata jest jedna dla nas wszystkich, wszystkim nam ma ułatwić poznanie zdobyczy rozumu ludzkiego, prowadzić nas do prawdy, która dla wszystkich jest jedna.

I dlatego pracy nad podniesieniem oświaty, nad ułatwieniem dostępu do niej każdemu, bardzo nam dziś potrzeba. Im więcej sprzeczności i trudnych spraw nasuwa nam życie — tym pilniejszą potrzebą naszych najistotniejszych interesów państwa i narodu jest zdobywanie wiedzy, udostępnienie nauki, ułatwianie kształcenia się wszystkim, bez względu na to, jakim jest ich zawód, do jakiej należą grupy społecznej, jakie wyznają poglądy polityczne.

A na ziemiach naszych, gdzie my jesteśmy przedstawicielami polskiej kultury, poznanie jej przez oświatę powszechną, przez szeroko rozwinięte czytelnictwo — to konieczne dozbrajanie dusz polskich, to ochranianie ich przed uleganiem wpływom kultury obcej, przed wynarodowieniem.

Niech więc dzień 3 Maja, dzień wspomnień naszej wielkiej przeszłości, będzie także i twórczym ogniwem naszego dziś i naszego jutra, dniem wspólnej troski o zapewnienie szkoły polskiej, czytelni, półkolonii, domu ludowego każdej polskiej osadzie — dniem powszechnej ofiarności na Dar Narodowy i dniem postanowienia, że w tej wielkiej pracy dla polskiej oświaty, dla kulturalnego rozwoju naszego narodu wszyscy Polacy bez różnic żadnych i podziałów znaleźć się powinni, bo praca ta tylko dobro Państwa i rozwój naszego narodu ma jako jedyny swój cel.

Dr Stefan Uhma



Uniwersytet Wiejski TSL w Ohladowie. Słuchacze I kursu.



Dom Ludowy TSL w Łuce Wielkiej pow. Tarnopol



Dom Ludowy TSL w Dyczkowie pow. Tarnopol

W dniu Trzeciego Maja każdy Polak składa datek na „Dar Narodowy“!

Domy Ludowe T. S. L.

Domy Ludowe mają bardzo duże znaczenie w życiu społeczeństwa wiejskiego. Pęd do ich budowania jest tak powszechny, że trudno znaleźć dziś osadę lub gromadę, w której nie myślano by o budowie lub rozbudowie istniejącego już Domu Ludowego. Parcele pod budowę pochodzą z różnych źródeł, część zakupują komitety z funduszów własnych, część ofiarowują czając planów budowy i dając wewnętrzne urządzenie.

Skoro parcela już jest, to tempo akcji wzmaga się. Zazwyczaj prowadzi budowę miejscowy Komitet, który znajduje oparcie moralne a także materialne w powiatowych władzach T. S. L. Z pomocą spieszy również Zarząd Główny T. S. L., albo udzielając subwencji, albo dostarczając planów budowy i wewnętrznego urządzenia.

Jest jednak szereg powiatów w których Domy Ludowe T. S. L. powstały bez pomocy Zarządu Głównego a to dzięki temu, że miejscowe Koła T. S. L. oparły akcję budowlaną wyłącznie na funduszach zdobywanych samodzielnie na swoim terenie. Do takich powiatów zalicza się przede wszystkim powiat tarnopolski, w którym przeszło 50 Domów Ludowych wybudowało Kuratorium Budowy Domów Ludowych i Kaplic przy Kole T. S. L. w Tarnopolu.

Długoletnim przewodniczącym tego Kuratorium był obecny wojewoda tarnopolski mgr T. Malicki. Za przykładem Tarnopola poszły Brody, Złoczów i szereg innych miejscowości.

Przed rokiem ciekawą inicjatywę podjął Związek Kół T.S.L. w Bóbrce. Związek ten powołał do życia Fundusz Budowy Domów Ludowych i Kaplic, opierając go na dobrowolnych deklaracjach osób zainteresowanych sprawą życia kulturalnego wsi. Założenie było następujące: „Musimy znaleźć na terenie powiatu 400 osób, które deklarują na cele funduszu kwotę 50 zł i kwotę tę wpłacą w ratach miesięcznych w ciągu 2 lat. Oprócz deklaracyj osoby te podpiszą weksle kaucyjne na 50 zł jako zabezpieczenie terminowego płacenia rat. Weksle po zupełnym wpłaceniu zostaną zwrócone".

Rzucona myśl znalazła realne formy. Znalazło się wiele chętnych i w ciągu roku uzyskano deklaracyj na 14.000 zł. Aby akcję budowlaną uruchomić zdeponowano weksle w Komunalnej Kasie Oszczędności, która udzieliła Funduszowi kredytu na taką sumę.

Akcja ta znalazła naśladowców. Dnia 6 lutego br. taki sam fundusz powołano w Żółkwi.



Dom Ludowy i Szkoła T. S. L. w Telaczem (pow. Podhajce).

Fundusz ten znalazł oparcie o bardzo poważną daninę ziemian żółkiewskich, którzy za przykładem powiatu sokalskiego, złożyli na cele budowy Domów Ludowych w powiecie żółkiewskim około 20.000 złotych w formie parcel, materiału budowlanego i gotówki.

To ogólne zainteresowanie Domami Ludowymi wywodzi się stąd, że każdy Dom Ludowy nie tylko daje pomieszczenie dla wszystkich polskich organizacji oświatowych i gospodarczych, ale skupia w swoich murach całe życie społeczne ludności polskiej. Każdy Dom Ludowy szerzy kulturę polską i umiłowanie Ojczyzny.

Z tych też względów akcja budowy Domów Ludowych musi nabrać jeszcze większego niż dotąd tempa, bo w Małopolsce mamy około 4500 gromad a polskich Domów Ludowych 1000. W tej liczbie jest 650 Domów Towarzystwa Szkoły Ludowej.

Aby akcję budowy rozszerzyć winny być zaangażowane obok funduszów społecznych także fundusze państwowe, jak Fundusz Pracy lub kredyty budowlane Banku Gospodarstwa Krajowego. Skoro grosz uzyskany z Daru Narodowego 3 Maja znajdzie oparcie w funduszach państwowych wówczas akcja budowlana Domów Ludowych rozwinie się należycie a ich sieć będzie zupełnie wystarczająca. *Jan Sietnicki.*



Dom Ludowy T. S. L. w Sieniachówce pow. Zbaraż.

Mgr LUDWIK BOJCZUK

Na wozie i pod wozem oświatowym.

Przeniosłem się niedawno w rodzinne lwowskie strony z odległej uprzemysławiającej i rozbudowującej się w oczach Rzeszowszczyzny i rozglądam się w nowym środowisku pracy oświatowej. Po dawnemu ciągnie mnie do wędrówek po wsi zadawnione zamiłowanie społecznicze, chęć poznania nowego terenu i jego stosunków, po dawnemu zaciągam się pod wypróbowane w walce o polskość tej ziemi, zasłużone sztandary T. S. L.

Siedem lat pracy oświatowej w Polsce zostało poza mną, ale nie minęło bez śladu; wracają we wspomnieniach chwile, kiedy przeżywało się zarówno radość i tryumf, jak gorycz niepowodzenia i zawodu. Bywało się w ciągu lat kilku na wozie i pod wozem w przenośnym i dosłownym znaczeniu tego powiedzenia, zwalczało się z różnym skutkiem uprzedzenia i lenistwo zarówno drugich jak i... swoje własne, zjeździło się dość dokładnie powiat i poznało „jak swoją kieszeń" kilkadziesiąt placówek oświatowych T. S. L. A że tam czasem deszcz nie pozostawił suchej nitki na grzbiecie, albo, że wylądowało się niespodzianie w rowie przydrożnym, gdy się płochliwe „kunie" — jak powiadają w tamtych stronach — czegoś przelękły i skręciły zbyt gwałtownie, to było może niemiłe w danej chwili, ale dzisiaj we wspomnieniu nabiera błękitnej barwy przygody, której ostatecznie człowiek zawsze w życiu szuka i do której tęskni choćby w ukryciu.

Pamiętam mój pierwszy występ na rzeszowskim terenie. Wybrałem się do Pawlikówki na założenie Czytelni T. S. L. Towarzyszyło mi kilku uczniów, wśród nich dwaj ośmioklasiści z tej wsi pochodzący, którzy zainicjowali i zwołali zebranie. Już pociąg zajechał na peron, gdy się okazało, że brak generatora do aparatu projekcyjnego karbidowego. Rozpacz! Nie było czasu wracać, a jechać z pustymi rękami także trudno, zwłaszcza, że moi towarzysze przyznali się, że dla ułatwienia sobie pracy agitacyjnej na miejscu zapowiadali głośno i szeroko, że przywiozą „kino" i ono właśnie miało być wabikiem ściągającym gromady ludzi do świetlicy szkolnej. Jak się tu tłumaczyć wobec nieznanych słuchaczy? Z rezygnacją wkroczyłem w progi szkoły. Wchodzę do izby, tu siedemdziesiąt albo i więcej dzieci wstaje grzecznie i wita nas chóralnym pozdrowieniem: Niech bę-dzie po-chwalony Je-zus Chry-stus! One także chciały zobaczyć kino, które niestety, jako chwilowo zupełnie bezużyteczne zostawiliśmy na dworcu w Rzeszowie. Na szczęście moi towarzysze zaproponowali dziatwie jakieś zabawy i gry, co z należytym wrzaskiem zostało przyjęte do wiadomości i sytuacja była uratowana. Później powyciągaliśmy z zakamarków pamięci, jakie kto kiedy umiał, gadki ucieszne i bajki i opowiadaliśmy na zmianę aż do wieczora, kiedy zaczęli się schodzić starsi.

Program dnia mieliśmy ułożony z góry: moi dwaj ośmioklasiści jako ludzie miejscowi mieli zagaić zebranie, a ja byłem upatrzony na głównego prelegenta. Gdy jednak na ławach szkolnych zasiadło z 60 osób, wśród nich zaś wszyscy głowacze wsiowi, zaczęły się w mojej gromadce szepty i trącanie łokciami, aż wreszcie jeden z gimnazjastów rzekł prosto z mostu: „gdyby był aparat tobyśmy zaczęli, ale ponieważ go nie ma, to już chyba pan profesor musi osobiście... nie będą mieli tyle śmiałości do besztania, a nas zakrzyczeliby napewno". Nie były te słowa bardzo zachęcające, ale cóż miałem robić? Musiałem świecić oczami za czyjąś nieuwagę i roztrzepanie, ale jakoś wszystko pomyślny obrót wzięło. Pierwszą czytelnię miałem zorganizowaną.

Rok upłynął. Listopad. Wiatr huczy żałośnie i zmrok jesienny zapada. W zbitej z desek remizie strażackiej w Palikówce chwieją się słabe płomyki. Uroczysty obchód święta niepodległości zgromadził z setkę osób. Czytelnia organizuje wszystko bardzo sprawnie i porządnie: Słowo wstępne, deklamacje, śpiew, produkcje orkiestry wypełniły wcale interesujący program zakończony inscenizacją „Ostatniego rozkazu". Cisza grobowa panuje w zaimprowizowanym teatrze. Tu i ówdzie ciche stłumione szlochanie... Koniec uroczystości. Ludzie wysypują się na ulicę i wsiąkają w ciemności. W remizie zostaje kilkunastu członków Czytelni, którzy uprzątują scenę, i nas dwóch przybyszów z miasta. Prace już skończone; wyciągnięta na czas obchodu sikawka tryumfalnie powraca na miejsce stałego swego postoju. Wychodząc widzę, jak nasi znajomi zabierają i dzielą między siebie brzozowe patyki, z których sporządzono krzyżyki nagrodne na scenie i dekoracje podpierano, by przypadkiem nie zwaliły się na widownię. „Poco wam to" — pytam nieco zdumiony. — A ci z tamtego końca wsi mają złość na Wicka (prezes Czytelni) i trzeba się mieć na baczności, więc wzięliśmy te kołki „kuli" wszelkiej pewności". — Zrozumiałem.

Na szczęście nie zaszła tego wieczora potrzeba „kołków". Widać przeciwnicy uszanowali powagę dnia. A swoją drogą w trzy dni później wioząc drzewo z lasu oberwał Wicek niezgorzej, jak mi później doniesiono.

(C. d. n.)

40.000 dzieci wiejskich na półkoloniach T. S. L.

Półkolonie letnie, organizowane przez T. S. L. spełniają wieloraką rolę. Roztaczają opiekę nad dziećmi, głównie wiejskimi, w wieku przedszkolnym, w okresie letnim, kiedy wieś zajmuje się pracami w polu i ułatwiają czuwanie nad bezpieczeństwem dzieci. Równocześnie podejmują akcję zdrowotną wśród dzieci, prowadząc dożywianie ich i poddając je opiece lekarskiej.

Drugim jednak bez porównania głębszym celem półkolonii jest ich działalność wychowawcza. Pogadanki, śpiew, uczenie wierszy, wpajanie zasad współżycia — oto drogi, którymi kierownictwo półkolonii podąża do osiągnięcia celu wychowawczego.

Wartość i ważność roli półkolonii wzrasta, skoro weźmiemy pod uwagę fakt, iż organizuje się je zasadniczo w miejscowościach, zamieszkałych przez ludność o narodowości mieszanej.

Tu oddziaływanie na dzieci w kierunku uświadomienia narodowego, wychowywanie ich w ideałach polskości i wiązanie uczuciowe z polskością staje się misją narodową, która tysiące dzieci ratuje przed wynarodowieniem.

Zasięg działalności półkolonii T. S. L. wzrasta z roku na rok, jak świadczą o tem następujące cyfry:

W r. 1933	półkolonii	10	dzieci	498
W r. 1934	półkolonii	97	dzieci	3.514
W r. 1935	półkolonii	305	dzieci	12.668
W r. 1936	półkolonii	553	dzieci	20.886
W r. 1937	półkolonii	1.054	dzieci	38.910

Jak więc widzimy skromnie zapoczątkowana praca na 10 półkoloniach z niespełna pół tysiącem dzieci — osiąga po 5 latach w r. 1937 imponującą jak na akcję społeczną cyfrę — ponad tysiąc półkolonii dla blisko 40 tysięcy dzieci.

Z liczby 1054 półkolonij przypada na półkolonie Tow. Szkoły Ludowej w województwie lwowskim 464, w województwie stanisławowskim 176, w województwie tarnopolskim 321, czyli razem 961.

Prócz tego T. S. L. wespół z innymi organizacjami zorganizowało 58 półkolonii.

Poza tym zorganizowano 35 półkolonii TSL. na terenie działalności Wydziału Ścisłego T. S. L.

Zasadniczo półkolonie letnie T. S. L. organizuje się na terenach, zamieszkiwanych przez ludność mieszaną pod względem narodowym, całą więc prawie uwagę zwrócono na teren województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego. Sieć półkolonij na terenie Wydziału Ścisłego T. S. L. obejmuje jedynie 8 powiatów zachodnich województwa lwowskiego, oraz powiaty, w których mieszka ludność łemkowska. W szczególności półkolonie te znajdowały się: w powiecie brzozowskim w ilości 6, krośnieńskim — 6, niskim — 1, łańcuckim — 6, przeworskim — 2, rzeszowskim — 8, nowosądeckim — 4, oraz jasielskim — 2.

Współpraca placówek T. S. L. na terenie Wydziału Ścisłego T. S. L. polega w tej dziedzinie na organizowaniu środków pieniężnych na cele półkolonii letnich w Małopolsce Wschodniej.

Nie pozwalając się sugerować cyframi, ani w kierunku dodatnim, który wyżej podkreśliliśmy, ani też w kierunku ujemnym, jeżeli zważymy, iż ilość dzieci, nie objętych akcją półkolonijną z powodu braku odpowiednich funduszów jest jeszcze bardzo wielka, możemy stwierdzić jedno:

Ta forma pracy oświatowej przedstawia duże możliwości i daje dobre wyniki. Dziś niewątpliwie uważalibyśmy pozostawienie tego zagadnienia odłogiem za rzecz wprost nie do pomyślenia.



Zabawa dziatwy na półkolonii wiejskiej fot. J. Sietnicki



Mali aktorzy. — Próba inscenizacji na półkolonii. fot. J. Sietnicki

T. S. L. apeluje do społeczeństwa o datki w dniu 3-go maja każdego roku. Niech w tym roku „Dar Narodowy" dopomoże do prowadzenia ważnej akcji półkolonij letnich w szerszych o wiele rozmiarach.

Niech umożliwi korzystanie z półkolonij nie 40 tysiącom dzieci, jak dotychczas, lecz co najmniej stu tysiącom.

Dar Narodowy w roku 1937.

Zbiórka T. S. L. na Dar Narodowy 3 Maja przyniosła w r. 1937 kwotę zł 128.903.42 osiągając w ten sposób najwyższą cyfrę, jaką w ostatnich 6 latach Towarzystwo Szkoły Ludowej uzyskało ze zbiórki 3 majowej. Cyfra ta jest wyższa od zbiórki w r. 1936 o zł 12.300 — czyli o 10.5%.

Na wymienioną kwotę ogólną składają się wyniki zbiórki: w województwie krakowskim zł 44.849.46, w woj. lwowskim zł 54.080.92, w woj. stanisławowskim zł 11.997.14, w woj. tarnopolskim zł 17.975.90.

Spodziewać się należy, że społeczeństwo nasze, doceniając rolę T. S. L. poprze równie wydatnie jego wysiłki w okresie uroczystości 3 majowych w bieżącym roku.

Polska pieśń ludowa.

Pieśń ludowa śpiewana od wieków przez lud wiejski jest pod względem artystycznym niezrównaną. Jest to skarbnica, z której korzystali i korzystają najwięksi muzycy świata. Wszak opera narodowa „Halka" Moniuszki jest oparta na motywach pieśni ludowej, na wzorach sztuki ludowej i nikt nie zaprzeczy, że Moniuszko korzystał właśnie z tej ludowej skarbnicy, tworząc nieśmiertelne dzieło.

Lud śpiewa zawsze. Pieśń jest jego śpiewanym obrazem życia. Ona towarzyszy mu od kolebki niemowlęcej aż do kolebki wiecznej, do zimnej mogiły. Wieś śpiewa podczas wszelkich prac w polu i w domu, śpiewa na chrzcinach, weselu i pogrzebie. Polskie kolędy... toż to są skarby, jakimi żaden naród na szerokim świecie nie może się poszczycić.

Powstawały pieśni ludowe w różnych okresach bytu naszego narodu, od najpierwszych wieków polskiej historii, a tworzyli ją autorzy w siermięgach, w zgrzebnych koszulach przy sosze, na pastwisku i w lesie. Nieznani autorzy komponowali piosenki ludowe. We wszystkich tych pieśniach goreje miłość Boga, Ojczyzny, miłość ziemi i pracy.

Z pieśnią na ustach przy akompaniamencie łopotu chorągwi szli nasi sławni przodkowie po zwycięstwo pod Płowce, Grunwald, Racławice, Rarańczę i Polską Górę.

W ostatnich kilku latach powiat lwowski ludową pieśń polską śpiewa coraz częściej... brzmi ona już nie tylko na pastwiskach i w polu, ale słyszymy ją w mieście, śpiewaną na scenach lwowskich przez dobrze zorganizowane chóry, najczęściej mieszane czterogłosowe. Obecnie mamy w powiecie lwowskim około 30 chórów ludowych, które rokrocznie zjeżdżają do Lwowa na popisy, konkursy lub z okazji świąt narodowych i państwowych.

Brzmi dziś pieśń ludowa po wioskach polskich w świetlicach Domów Ludowych, w Czytelniach T. S. L., w świetlicach Z. S., na popisach chórów ludowych w czasie zjazdów regionalnych urządzanych przez organizacje społeczne i kulturalno-oświatowe.

Słyszymy ją i w radio na audycjach niedzielnych. I warto zobaczyć jak mieszkańcy wioski, z której gromadka śpiewaków śpiewa do mikrofonu, zbierają się przy głośnikach przeważnie własnej konstrukcji i, jak słuchają, cieszą się i dumni są z tego, że wieś ich bierze udział w propagowaniu sztuki ludowej, że ich bracia i siostry są słuchani przez lud całej Polski.

Cieszą się, że wieś polska kroczy dumnie ze sztandarem Sztuki Ludowej na czele wraz z tymi braćmi z miasta, którzy podjęli walkę z ciemnotą i kroczą w szeregach wielkiej masy członków T. S. L. I przyjdzie może czas, że ludowa pieśń wypędzi z programów Polskiego Radia płyty z fokstrotami i murzyńskimi bekami.

Lud polski ceni swoją tradycję, zwyczaje i obrzędy, a te najlepiej i najwidoczniej tkwią w pieśni ludowej. Szlagiery wielkomiejskie jak „Titiny", „Rebeki" itp. brudy bezwartościowe nie mają absolutnie dostępu do wsi... lud ich nie rozumie i pędzi na przedmieścia wielkich miast; tam one znajdują schronienie na krótki czas... i nie długo giną.

A czysto polska ludowa piosenka trwa wieki, tworzy życie sztuki ludowej, podnosi duszę ludu coraz wyżej, uszlachetnia ją i dźwięczy jak śpiew skowronka szlachetna... artystyczna i czysta jak czyste i piękne są nasze ojczyste łany, góry, lasy i rzeki.

Franciszek Dawiskiba.

Jak obchodzono pierwszą rocznicę 3-go maja w Warszawie w 1792 r.

Za staraniem Stanisława Augusta wprowadzono z powrotem święto św. Stanisława biskupa, a na prośbę króla i Stanów zgodził się Ojciec św., by święto to przenieść z dnia 8 maja na dzień 3 maja.

Postanowił więc król w tym dniu uczcić rocznicę konstytucji 3-go maja jak najuroczyściej i najwspanialej, tym więcej, że zamierzał wprowadzić w czyn intencję z 1791 r. wybudowania kościoła „Opatrzności" i w dniu tym położyć kamień węgielny.

Na uroczystość 3 maja wybrano kościół księży Misjonarzy na Krakowskiem Przedmieściu, jako, że była to najwspanialsza świątynia. Tam po rozebraniu kraty żelaznej między presbiterium i wielkim chórem, ustawiono tron królewski. Nad nim zawieszono karmazynowo-aksamitny baldachim w złoto obszyty i na rogach ponad cztery skrzydła tronu misternie powiązany w pukle. Naokoło nawy porobiono loże, na chórze ustawiono dla kapeli ławki, sięgające do sklepienia kościelnego.

Kapela składała się z 200 osób a do dyrygowania sprowadził król Jegomość jakiegoś księdza z Neapolu.

Próby tej kapeli odbywały się przez 4 dni przed 3 maja; na trzech próbach bywał sam król, grano tylko Te Deum, na trzy części podzielone, co trwało dobre dwie godziny.

Do Warszawy ściągnął król do 5.000 wojska konnego i piechoty.

Już o godzinie 7 z rana dnia 3 maja 1792 r. przymaszerowały na ulicę Krakowskie Przedmieście różne regimenty gwardii pieszej koronnej i litewskiej, regm. Działyńskiego, regm. pontonierów, szwadrony kawalerii narodowej i lekkich pułków przedniej straży. Piechota miała na plecach płaszcze zwinięte w wałki. Za wojskiem z obu stron stanęły cechy z chorągwiami i kapelami, konfraternie kupieckie i magistrat miasta Warszawy, którego prezydentem był poseł halicki Zakrzewski. Konfraternia kupiecka i magistrat były w mundurach koloru granatowego, w spodniach błękitnych, z szpadą lub szablą przy boku.

W środek dziedzińca wmaszerował regiment gwardii konnej, koronnej, który asystował królowi za karetą.

W paradnej karecie wyruszył król około godziny 9 z zamku, przed karetą króla szły karety Prymasa z nim samym i jego prałatami z liberią pieszą i z kilku dworzanami na paradnych koniach. Za karetą Prymasa szła kareta Nuncjusza, za nią szła liberia królewska, później królewska kawalkata na koniach przebranych w sute i bogate rzędy i czapraki.

Za królewską karetą maszerował cały regiment gwardii konnej w paradnych koletach a za nim karety z paniami i panami. Wraz z królem weszła do kościoła konna gwardia, konie zaś i powozy udały się pod koszary gwardii pieszej litewskiej, gdzie miały czekać na swoich jeźdźców, którzy po odbyciu procesji mieli tam nadejść.

Do kościoła wszedł także magistrat, dwór, panowie i panie. U tronu królewskiego wartę trzymali kadeci w paradnych koletach i kaszkietach wyzłacanych.

Posłowie cudzoziemscy mieli swe loże po lewej stronie; brakło tylko posła moskiewskiego, który na dwa dni przedtem wyjechał do Siedlec, do dóbr hetmanowej Ogińskiej. A że tam także wyjechało wielu panów polskich (sprzedawczyków) i cudzoziemskich, więc czwarta część przygotowanych lóż, ganków i amfiteatrów świeciła pustką.

Gdy wszyscy już na swych miejscach zasiedli, pierwszą mowę do króla miał marszałek wielki koronny Mniszech, później marsz. wielki litewski Potocki a w końcu przemówił król.

Po królu przemawiali deputowani z trzech prowincji, dziękując królowi i Stanom za Konstytucję 3 maja, upewniając powszechne przyjęcie jej i ukontentowanie.

Król odpowiedział na to, wyrażając swoje zadowolenie.

W końcu przemawiali delegaci miast trzech prowincji a także i szlachta, którym od tronu odpowiedział Dembowski w miejsce ks. Kołłątaja, podkanclerza koronnego, który na tę uroczystość nie przybył, gdyż uważał uroczystość tę za niepotrzebną i koszta przynoszącą.

Po mowach, król zszedł z tronu, obrócił się do ołtarza, uklęknął na przygotowanym wezgłowiu, zaś biskup poznański miał czytaną mszę św., po której kapela zagrała „Te Deum laudamus", co — jak naoczni świadkowie stwierdzają — było najpiękniejszym ze wszystkich punktów tej uroczystości.

Rozpoczęła się procesja.

Szły cechy, za nimi zakony, później księża misjonarze i od św. Jędrzeja, potem duchowieństwo zakonne i świeckie, konfraternie kupców, magistrat warsz. parami uszykowany, w ostatniej szedł prez. Zakrzewski w mundurze municypalnym z orderem św. Stanisława, a w końcu pełnomocni różnych miast i inni delegaci.

Za nimi drugi orszak duchowieństwa świeckiego, kanonicy, prałaci i biskupi, wśród których był także metropolita ruski Rostocki, przebrany w bogatą czamarę, w złoto i srebro obszytą. Na ostatku szedł książę-prymas w litej kapie, w infule i z srebrnym pastorałem w ręku.

Na trzy kroki za prymasem szedł król w sukniach niemieckich jasnego koloru z nakrytą głową, przed nim po bokach nieśli laski dwaj marszałkowie wielcy. Za królem senatorowie, ministrowie, posłowie i goście, płci obojga.

Później gwardia konna szła pieszo pod bronią po bokach aż do księcia prymasa, a od prymasa kadeci.

Za procesją niosło ośmiu hajduków lektykę królewską.

Duchowieństwo śpiewało pieśń, ułożoną przez ks. biskupa Krasickiego, a w przerwach odzywały się kapele cechów.

Wojsko stało, nieporuszone przez cały czas procesji i ceremoniału, a gdy wszystko doszło do placu naznaczonego kościołowi Opatrzności uczestnicy zajęli miejsca z góry wyznaczone.

Król stanął na tem miejscu, gdzie miał być założony kamień węgielny, a książę prymas poświęcił plac. Przygotowano kilka cegieł i wapno, architekt podał królowi pierwszą cegłę a potem kielnię wapna, co król rzucił na plac, a w tej chwili 12 mularzy, ubranych w białe żupany, czerwone kontusze z zielonymi wyłogami i w skórzane fartuchy cielęce, wzięło się do pracy i ułożyło kopiec czworograniasty na trzy łokcie wszerz i wzdłuż, a dwa wysoki. W czasie tego murowania ks. biskup Naruszewicz miał mowę do króla, wspominając Dawida, który taką procesję odprawił przed Arką Pańską, gdy ją prowadził do miejsca przeznaczonego na świątynię, zbudowaną później przez Salomona.

Akt ten trwał do czwartej po południu.

Po tej mowie król w lektyce udał się do Łazienek, a uczestnicy rozeszli się do domów względnie do koszar, cechy zaś odprowadziły gromadnie swe sztandary do domów gospodarskich.

Wieczorem odbyły się przyjęcia, jak u księcia prymasa dla posłów i ministrów cudzoziemskich, marszałek koronny częstował senatorów i ministrów krajowych, marszałek sejmowy koronny posłów i delegatów, marszałek sejmowy litewski przyjmował szlachtę i mieszczan, a prezydent Zakrzewski częstował w swoim pałacu municypalność warszawską.

W mieście po 9-tej była wspaniała iluminacja pałaców i przedniejszych kamienic.

Najwspanialej był iluminowany ratusz warszawski Starego Miasta, po nim pałac marszałka Małachowskiego, a trzecie miejsce zajął pałac biskupa kijowskiego, wynajęty od Dembowskich.

Król Jegomość po wypoczynku objeżdżał pryncypalniejsze ulice, przypatrując się iluminacji miasta.

Wszystko odbyło się w jak największym porządku, spokojnie, wesoło i bez większych wypadków.

Tak wypadła pierwsza rocznica wiekopomnego dnia 3 maja, w której udział wziął ostatni król polski, stany, dwór, wojsko, panowie i mieszczaństwo.

Dziś w wolnej Polsce — święcimy znowu ten wielki dzień wielkiej Konstytucji, w którym jednak zamiast króla, charakteru słabego, hetmanów-sprzedawczyków, szlachty niesfornej i zaciążnego wojska uczestniczy liczna rzesza braci siermiężnej, granitowej podwaliny naszego bytu narodowego, której Konstytucja 3 maja 1791 r. nie wiele wprawdzie dała, ale nie było nikogo, by ją szczerze do serca przycisnął.

Bierze udział wódz naczelny, wojsko okryte wawrzynem chwały, wojsko narodowe posłuszne i z woli narodu baczące na bezpieczeństwo granic, bierze udział naród cały.

Uroczyście świętujemy dzień 3 maja, jako jedyny dzień odrodzenia i opamiętania się przed tyluletnią niewolą i poniżeniem, w czasie którym świeciła ona tem jasnem światłem nadziei lepszego jutra i była drogowskazem, po którym szczęśliwe nasze pokolenie doszło do Wolnej i Niepodległej Ojczyzny. **Z. Zygmuntowicz.**

Nie kresy lecz przednie straże.

Słowo, dobrane na określenie pewnych działań, programów, osób, miejsc, wyraża nasz pogląd na tę sprawę, na to działanie, na tę osobę np. kapłan, ksiądz, klecha, pop, dziecko, bachor, żyd, parch itd. itd.

Jako wyraz szkodliwy w swym działaniu uważać należy wyraz kresy. Mówi on o wiekowym zresztą, nastawieniu społeczeństwa Polski Środkowej do ziem granicznych. Jeśli mówi się „u kresu życia", to słowo „Kresy zachodnie" czy „Kresy wschodnie" mówi też o jakichś krańcach, końcu i jak z niechęcią myśli się i mówi o kresie życia, tak też i „Kresy" stają się czemś dalekiem, nieprzyjemnem. Obłudnie, ze słodkawą miną mówi się przy kresowcach o wielkiej ich dzielności itd., ale oddycha się z ulgą, gdy przestaną męczyć bolączkami ze swego terenu. Na akcje, które są na kresach, coś jakby w odwrocie, trudno łożyć więcej uczucia, myśli, wydatków; „na kresach" to z dawien dawna gdzieś ogromnie daleko, coś czem nie warto się zająć, w co nie warto się angażować. Przy takiem nastawieniu cofaliśmy się z nad Dniepru ku Bugowi, a z nad Odry ku Wiśle.

Tymczasem niema kresów, są tylko przednie straże, a za przednią straż poczuwa się do odpowiedzialności ten, co ją wysłał i interesuje się każdym jej krokiem. W innym też świetle, z innym patrzeniem się w przyszłość pracuje społeczeństwo Polski Środkowej, które ma przednie straże, inaczej też czuje się społeczeństwo, które dotychczas było kresowem, a staje się przednią strażą, jak inaczej czuje się żołnierz broniący odwrotu, a inaczej żołnierz idący w przedniej straży.

Odpowiedzialność przedniej straży jest ogromnie wielka. Musi umieć w tych drobnych pracach wcielić wielki plan całej akcji. Musi umieć czuć się dumną za wszystko wielkie, co dzieje się w Polsce i iść naprzód z wiarą w swych wodzów, z gotowością do największego wysiłku i do najcięższej ofiary, nawet do ofiary wielkiej cierpliwości, bo nie przednia straż decyduje o momencie uderzenia. Pracowaliśmy dzielnie, gdy byliśmy „kresowcami", pracować będziemy nie tylko dzielnie ale i z radością, gdy poczujemy się przednią strażą.

Ks. Dr Teofil Długosz.

Zagrała polska krew.

W chacie dokoła na ławach siedzi pełno ludzi. Radzą jakby to uczcić dzień 3 Maja w naszej wiosce.

Już to te parady trzeciomajowe takie oklepane, że aż się prosi, aby coś nowego wprowadzić. Pewnie, rano jak zawsze wszyscy pojadą do Sokala, gdzie odbędzie się polowa Msza św., po czym defilada, a po defiladzie do domu. We wsi wieczorem przedstawienie, po tym zabawa i po całej paradzie.

— No mówcie, co robić, aby każdy długo popamiętał, że chociaż nas mała garstka Polaków we wsi, ale i my tu żyjemy i my mamy swój dzień świąteczny.

Różne podawano pomysły, ale jak jedne były śmieszne i naiwne i wzbudzały huragany śmiechu, tak drugie nie dały się z różnych względów zrealizować.

Aż ci jeden wpadł na pomysł, który „zamurował“ wszystkich. Gdy go podał, cisza się w chacie zrobiła, jakby nie było nikogo. Twarze jednych wyglądały jak przestraszone, innych zaś znowu, jakby im ktoś jakąś krzywdę uczynił. Projekt brzmiał: „aby każdy Polak w dniu 3 Maja udekorował swój dom chorągiewką biało-czerwoną“. I to właśnie zrobiło na wszystkich dziwne przygnębiające wrażenie. Przestraszyli się czegoś.

Niestety, tak jest po naszych wioskach, gdzie Polacy są małą garstką. Oto w wioskach mieszanych chłop polski czuje się tak, jakby był wszystkim, tylko nie Polakiem we własnym Państwie. Tam, gdzie znajduje się Czytelnia dobrze zorganizowana, dzięki której nastąpiło uświadomienie narodowe, będzie on do niej chodził, będzie brał udział we wszystkich imprezach. Pójdzie do miasta z innymi manifestować. Ale we własnej wiosce na ulicy nie zademonstruje swej polskości. Może się wstydzi... może się boi... Dlaczego? Nigdy tego nie umie powiedzieć.

Po dobrej chwili dopiero, pomału rozwinęła się dyskusja. Wysunięto wątpliwości czy to się uda, nigdy bowiem tego we wsi nie było. Dobre to jest w mieście, gdzie mieszkają sami Polacy, ale nie tu. Kto tam zechce kupować flagi, zresztą będzie we wsi dużo gadania. Może kto nam jeszcze jakiegoś psikusa zrobić...

I nim dyskusja się skończyła, jeden zaczął szukać czapki, niby to musi iść, bo bydło trzeba nakarmić, drugi musi skoczyć w jedno miejsce i tak powoli rozeszli się prawie wszyscy. Pozostało dwu i niefortunny projektodawca.

— Ta zresztą ja mogę wywiesić chorągiew — powiada jeden — ale co ma zrobić Jaśko, czy Władek, gdy ich żony takie zatwardziałe ukrainki ciągle u jegomościa siedzą?

Długo jeszcze coś wieczorem radzili. Coś musieli uradzić, bo rozeszli się rozradowani. Gospodarz wziął czapkę i poszedł do Kółka, kupił 20 arkuszy bibułki białej i czerwonej, a spotkanym po drodze dziewuchom zapowiedział, aby jutro wieczorem przyszły do Czytelni, bo będą coś robiły. Na drugi dzień wieczorem wszyscy już we wsi wiedzieli, że w Polskiej Czytelni zrobiono tyle chorągiewek, ile jest domów polskich we wsi i że Michał z dwoma chłopakami będzie je roznosił i zbierał dobrowolne datki na T. S. L.

We wsi — jakby kto kij do mrowiska wsadził. Jedni ciekawi byli, kto wywiesi chorągiew, a kto odmówi przyjęcia, drudzy oburzeni, że to znowu jakieś „polskie wariactwo“ — jak powiadali. — Narzekali, że we wsi źle zaczyna się dziać. Miejscowi zaś politykanci stanowczo twierdzili, że to nie jest droga do normalizacji. Jeszcze większa sensacja była na drugi dzień, gdy Michał z całym pękiem chorągiewek paradował przez wieś. Z za stodół i wrót wielu ciekawie wygląda do kogoż też on wstępuje. Polacy pochowali się do domów, aby broń Boże nie przyszło na ulicy brać chorągiewki.

Od domu do domu polskiego chodzi Michał z kolegami i zostawia chorągiewki.

Patrzcie! Poszli do Władka Kowala. Stoją przed drzwiami. Zamknięte. Wychodzi żona. Aż poczerwieniała ze złości na widok chorągiewek i powiada, że nie ma męża w domu. — No to proszę mu doręczyć — i oddają chorągiewkę. Odebrała i trzasnęła drzwiami, mało szyby nie wyleciały.

W innym domu, którego właściciel miał nazwisko podobne do nazwiska hetmana, co to pod Obertynem gromił Wołochów, słychać: „idy skaży, szczo ty je“. Za chwilę wychodzi blady Jaśko i powiada, że nie przyjmuje, bo jest Ukraińcem. Smutnie spuścił głowę na pierś. Odeszli.

Nagle, na drodze zobaczyli wracającą ze spaceru panienkę. Pobiegli uradowani. Opowiadają o świetnym pomyśle, o przystrajaniu domów chorągiewkami, wręczają chorągiewkę i dają listę do podpisu. Panienka jakaś zaaferowana podpisuje listę i mówi coś, co zmroziło krew w żyłach chłopaków. Chorągiewki nie weźmie, bo mieszka u wielkiego Ukraińca i nie chce mu robić przykrości przez wywieszanie jej na domu... Gdyby grom z jasnego nieba uderzył w tej chwili, nie uczyniłby takiego wrażenia jak te słowa. Zacisnęli tylko zęby bo łzy im do oczu się cisnęły. Odeszli.

Wieczorem w Czytelni pełno Polaków, jak nigdy. Rozpalone twarze, oczy błyszczą. To nie ci sami ludzie, ta iskierka polskości, która zdawała się tlić gdzieś tam na dnie, buchnęła nagle płomieniem oburzenia na tych wyrodnych synów. Nie przyjęli!...

... — Widzicie ludzie — ktoś woła — to na cmentarzu Obrońców Lwowa tyle naszych polskich dzieci, tyle panienek leży, dały swe życie, aby nad naszą ziemią powiewał proporzec biało-czerwony. A tymczasem tu u nas żyją tacy, którzy nie chcą robić przykrości synom Gonty, Żeleźniaka czy Nalewajki...

Wstrząsnęły się do głębi chłopskie dusze i serca. Przyrzekli sobie polscy chłopi, że jak jeden mąż wywieszą nasze barwy na swych domach. Z oczu ich wyczytać można, że krew Wąsa, Wielocha czy Głowackiego w nich zagrała.

3-go Maja. Na wszystkich domach łopocą chorągiewki biało-czerwone. Każdy wysadzał wysoko jak mógł, aby wszyscy z daleka widzieli, że tu mieszkają Polacy. Nie obeszło się bez awantury. Oto na czworakach wybuchła sprzeczka bo Prakseda zdarła ze strzechy chorągiewkę, a niewiasty jak wsiadły na nią, to nie wiedziała co ze sobą zrobić.

I w tym samym czasie gdy panienka słuchała przez radio audycji z uroczystości warszawskich, Władek kowal naprawiał pług w kuźni, a Jaśko rąbał drzewo na podwórzu, jak długa i szeroka Polska, rozbrzmiewała po kaplicach pieśń „Królowo Korony Polskiej — Módl się za nami“. Po kościołach biły dzwony przy wtórze „Boże coś Polskę“. A serca polskie wołały: Najjaśniejsza Rzeczpospolita niech żyje!

Teeselowiec z Sokala.

W TSL-owej szkole.

Pochmurny poranek. Drogą z miasta, pełną wyboi, zdąża furmanka do odległej o 37 km od stacji kolejowej gromady. Raz po raz koła wozu wpadają w kałużę.

Jadący na furze młody człowiek przeżywa ciekawe chwile. Wszak w dniu dzisiejszym jedzie do upragnionego celu, jedzie na posadę nauczycielską. — Czekał na pracę przeszło dwa lata, aż oto przed kilku dniami otrzymał zawiadomienie z Zarządu Głównego T. S. L. we Lwowie, ż podanie o posadę zostało pomyślnie załatwione i że z dniem 1 września został mianowany nauczycielem 1-kl. prywatnej szkoły T. S. L.

Dziś oto jedzie do upragnionego celu. Jedzie na samodzielną placówkę uczyć dzieci polskie w osadzie powstałej przy parcelacji. Założono tam szkołę by dzieci się nie wynaradawiały. Wszak tyle dusz straciliśmy na kresach...

Mówiono mu, że T. S. L. prowadzi już 41 takich szkół prywatnych — a on uczyć będzie w 42-giej. Będzie starał się wypełnić swoje zadanie.

* * *

— Jak też ta będzie wyglądał ten pan nauczyciel, co ma do nas dziś przyjechać i uczyć nasze dzieci? — gwarzą wsiowe kobiety.

— Ta klasa taka mała i to jego mieszkanie takie niewygodne. — Wprawdzie wczoraj pobieliłyśmy klasę, ale nawet ławek jeszcze nie ma, ani tablicy, a piec to dopiero za trzy dni będzie gotowy. — Łóżko to dziś stolarz kończy.

— Co on nam też powie dzisiaj na zebraniu wieczorem?

— Jak to dobrze, że T. S. L. odrazu nam tu szkołę organizuje. — Tak razem z nami... My się budujemy, będziemy mieć szkołę, a da Bóg że wnet będzie i kaplica.

* * *

Szanowni zebrani!

Przyjechałem tu do Was, jak sami wiecie wychowywać i uczyć wasze dzieci, a w wolnych chwilach pomagać i wam. Mamy tu razem, to znaczy wy i szkoła, spełnić wielkie zadanie. — Mamy być zawsze dobrymi Polakami. Zadanie to wypełnimy!

Zwiedziłem już klasę. Jest ciasna, ale pomieszczą się dzieci — zmieścicie się i wy wieczorami na wspólnych zebraniach, przy pogadankach, czy słuchaniu audycyj radiowych — bo przywiozłem i radio kupione przez T. S. L. dla szkoły. W niedzielę i święta będziemy mogli przez radio słuchać nabożeństwa. Przywiozłem trochę książek i gazet. Jutro przyślecie dzieci na godzinę ósmą, ktoś z was wypożyczy na kilka pierwszych dni stoły i ławki, a jutro pójdziemy do stolarza zamówić sprzęty.

* * *

Takie są zwykle początki powstawania naszych kresowych twierdz polskości jakimi są prywatne szkoły T. S. L.

W miesiąc później z klasy szkolnej dolatują słowa piosenki, śpiewane na nutę krakowiaka:

My dzieci osady jesteśmy wesołe,
Że tutaj w osadzie mamy polską szkołę.
Chociaż ona mała, chociaż klasa ciasna,
Lecz nasza mazurska, nasza, nasza wiosna.

Zbliżamy się do szkoły i słyszymy przez otwarte okno słowa wiersza, deklamowanego przez ucznia 3-ciej klasy:

Jestem Polak z krwi i kości
Mazur twardy nieugięty,
Wiem, że Polska ukochana
To kraj wielki, to kraj święty
My tu razem z rodzicami
Polski naszej filarami...

Serca napełnia otucha i radość — taka moc bije z tych słów.

* * *

W dwa lata później odbyło się uroczyste poświęcenie Domu Ludowego. Realne zamierzenia spełniły się...

Gospodarze zagospodarowali się, pobudowali własne domy. Nic nie zagraża ich polskości, chociaż ze wszystkich stron są wsi ruskie, bo mają szkołę polską z polskim nauczycielem, a kaplicę już budują.

* * *

Drobne datki, złożone do puszki w dniu 3-go maja na Dar Narodowy spełniły swój cel.

Leon Cag.

Wrogowie ludu w dzisiejszej Rosji.

Jeżeli u nas potrzeba komuś bielizny, to po prostu prosi żonę lub matkę, by mu ją uszyła z domowego płótna, albo kupiła gotową w miasteczku. Byle tylko mieć płótno, czy trochę grosiwa, a nie ma żadnego kłopotu.

Tak jest u nas. Ale inaczej przedstawia się ta sprawa w Sowietach, gdze wszystko zorganizowane jest wprawdzie wedle racjonalnych metod sowieckich, gdzie jednak legendarni już „wrogowie ludu“ pchają swoje trzy grosze do wszystkiego, nawet do takich rzeczy, jak koszule, czy inne części bielizny. Oto, jak donosi prasa sowiecka, **w Moskwie zabrakło bielizny męskiej.** Winni są temu „wrogowie ludu“, którzy zarówno w „truście moskiewskich wytwórni bieliźnianych i w komisariacie przemysłu dóbr użytkowych RSFSR czynili niemało wysiłków, aby wstrzymać wyrób bielizny. Plątali plany, psuli maszyny“ (Prawda nr 92). Oskarżenie dalsze jest o tyle znamienne, że wytwórnie bielizny nie zaopatrują rynku w tanie wyroby, które mają największy popyt, „natomiast magazyny zawalone są przez wszelkiego rodzaju drogie damskie kombinacje z jedwabiu i koronek. W ten sposób powstawały pozory wykonania planów“.

Specjalne kłopoty mają obecni władcy Rosji... z kalesonami. Jak donosi moskiewska „Prawda“ plan z 1937 r. przewidywał, że produkcja kalesonów będzie o 217 tysięcy sztuk większa niż wyrób koszul, a w planach r. 1938 również z niewiadomych powodów przewidywana jest produkcja kalesonów o milion sztuk większa. Nabycie kompletu bielizny jest w tych warunkach w Sowietach prawie niemożliwe. „Również nie można zrozumieć, pisze „Prawda“, dlaczego moskiewski trust bieliźniany zmniejszył plan produkcji koszul na rok bieżący o 429 tys. sztuk w porówaniu z planem zeszłorocznym i o 1.100 tys. sztuk w porównaniu z r. 1936“.

Dowiadujemy się z tej informacji, że wyrób koszul dla Moskwy i okręgu moskiewskiego zmniejszył się w ciągu dwóch lat ostatnich o przeszło milion sztuk i że nie tylko faktyczna wytwórczość, ale nawet plany kurczą się z roku na rok.

Czem nie zajmują się ci „wrogowie ludu“! **Dobrali się nawet do... gry w szachy.** „Komsomolska Prawda“ alarmuje, że „wrogowie ludu“, ujawnieni w składzie Wszechzwiązkowego Komitetu dla spraw kultury fizycznej i sportu (któremu szachiści sowieccy organizacyjnie podlegają), mają uważać szachy za wyrostek robaczkowy w ciele kultury fizycznej“. Zlikwidowano klub szachistów w Moskwie i zdymisjonowano cały aparat tego klubu. Również pozamykano kluby szachowe w innych miastach ZSRR: w Baku, Stalingradzie, Erywaniu, oraz kluby w oddziałach czerwonej armii.

„Wrogowie ludu“ o których wciąż mowa w moskiewskich procesach i na łamach sowieckiej prasy, stali się jakimiś postaciami tajemniczymi legendarnymi, niewidzialnymi, które wszędzie są, wszędzie szkodzą, wszystko psują. Jak w jakiejś bajce o złośliwych krasnoludkach.

Ale prócz tych „wrogów“, o których opowiada się w Sowietach bajki, legendy i banialuki, **są tam prawdziwi wrogowie ludu.** Ci wrogowie — to władcy dzisiejszej Rosji.

O tym, jak zniszczyli oni rosyjską wieś i rosyjskich chłopów, pisaliśmy nieraz w naszym tygodniku. Przypatrzmy się dziś **sytuacji rosyjskich robotników**, tego proletariatu, który — według bolszewickich obietnic — sprawować miał w Rosji władzę i którego życie miało się różnić o całe niebo od życia robotników w „państwach burżuazyjnych“.

Teoretycznie wszyscy robotnicy sowieccy muszą należeć do związków zawodowych. Książka pracy jest rejestrowana w związku i ten, kto nie posiada tej książki, nie może być przyjęty do roboty. W rzeczywistości jednak olbrzymia część robotników sowieckich nie należy do związków. Wśród pracowników przemysłu lotniczego liczba członków związków zawodowych waha się w różnych instytucjach od 55% do 7% wszystkich robotników. W innych dziedzinach stan jest analogiczny. Przynależność do związków zawodowych w odróżnieniu od wszystkich innych państw jest obowiązkiem robotnika.

Unika on jednak świadomie tej organizacji, stanowiącej w praktyce sowieckiej organ kontroli i przymusu i **broniącej interesów przedsiębiorcy — państwa, lecz nie robotnika.** Nie ufa korzyściom, płynącym rzekomo z należenia do związku, co znalazło jaskrawy wyraz w okresie zapomnianego obecnie „ruchu żon specjalistów“. Ruch ten pod protektoratem zmarłego komisarza Ordżonikidze, rozpoczął się w górniczych ośrodkach przemysłowych, gdzie żony dyrektorów próbowały walczyć z codzienną nędzą życia robotniczego, chciały zaopiekować się proletariacką kobietą i dzieckiem. Ta skromna akcja filantropijna miała pewne powodzenie na tle fatalnej działalności związków zawodowych. Górnicy, przypuszczając, że „towarzyszki dyrektorowe“, zaglądające do ich lepianek, reprezentują związek zawodowy, obrzucali je wyzwiskami, kiedy zaś dowiadywali się, iż działają „samorzutnie“, odsłaniali przed nimi wszystkie troski swego nędznego życia.

Ruch został odrazu ujęty w „ramy organizacyjne“. Inicjatorki zostały przyjęte na Kremlu przez Stalina i... cały ruch spalił na panewce. Robotnicy w dalszym ciągu są bezbronni wobec zetatyzowanego związku zawodowego, partyjnego narzędzia wyzysku i kontroli, z którego uciekają przy pierwszej okazji.

Organ sowieckich związków zawodowych „Trud“ donosi, iż w zakładach budowy maszyn „Krasnyj Profintern“ pogwałcenia ustawodawstwa o pracy nabrały masowego i systematycznego charakteru. Taka **eksploatacja bezbronnego robotnika sowieckiego odbywa się z wiedzą związku zawodowego.**

Związek zawodowy nie interweniuje również w wypadkach masowego wyrzucania robotników na rozkaz administracji. Samowola administracji przejawia się najczęściej w ujemnych świadectwach, wydawanych zwolnionemu robotnikowi. „Zerwanie wyczynów stachanowskich“, „niedbałe obchodzenie się z maszynami“ itp. — oto jak brzmią charakterystyki, pozbawiające robotnika prawa do odszkodowania lub zapomogi z kasy związków zawodowych. W rzeczywistości tego rodzaju opinie są spowodowane złym stanem mechanizmów i warsztatów oraz ogólną dezorganizacją pracy.

Robotnicy próbują bronić się za pomocą środków legalnych i zwracają się do związku zawodowego. W ciągu 10 dni w jednym tylko dziale zakładów „Krasnyj Profintern“ wpłynęło 308 skarg, których treść świadczy **o znęcaniu się nad robotnikami i o narażaniu ich życia i zdrowia** wskutek braku urządzeń ochronnych. Gdy jednak, jak bywa to zazwyczaj, związek zawodowy staje po stronie administracji, **robotnicy uciekają z fabryki, zwiększając armię** „nieoficjalnych“ bezrobotnych, lub dorywczo pracujących i powodują stałość zjawiska, znanego w ZSRR pod nazwą „płynność siły roboczej“.

Tak żyje się w kraju, gdzie rządy sprawują prawdziwi „wrogowie ludu“.

Z życia hufców junackich.

Rozpoczyna się dla junaków okres letni. W ostatnim tygodniu kwietnia ruszyły hufce do prac w trenie. Gdzie i co będą robiły? Oto wykaz tegorocznych robót junackich:

1. Budowa drogi na odcinku Łuck—Czuruków.
2. Obwałowanie Warty pod Uniejowem koło Koła.
3. Obwałowanie Warty pod Pyzdrami.
4. Budowa drogi na odcinku Kosów—Worochta i Żabie—Burkut.
5. Budowa drogi na odcinku Kosów—Żabie.
6. Przebudowa drogi na odcinku Jabłonka—Zubrzyca—Zawoja.
7. Budowa drogi na odcinku Piwniczna—Muszyna.
8. Przebudowa dróg w Zakopanem.
9. Budowa drogi na odcinku Mszana—Lubomierz.
10. Budowa drogi na odcinku Cisna—Łupków.
11. Budowa drogi na odcinku Suwałki—Wiżajny.

* * *

Liczba junaków, którzy się dokształcali obowiązkowo w kończącym się obecnie półroczu zimowym, wynosiła 452 analfabetów i półanalfabetów, 1876 junaków z wykształceniem 2—4 klas szkoły powszechnej.

Z pośród junaków z wykształceniem ponad 4 kl. szkoły powszechnej dokształcało się nadobowiązkowo 3553 junaków, a w zakresie gimnazjalnym 11 junaków.

Pozostałych junaków kształcono zawodowo na specjalnych kursach.

Liczby powyższe nie obejmują żeńskich kompanii pracy, gdzie system dokształcania jest odmienny i trwa przez cały okres 2-letniej służby.

Co czytają junacy?

W ostatnim półroczu w bibliotekach oddziałów junackich wypożyczono ogółem 57.265 książek.

Najpoczytniejszymy książkami w dziale powieściowym były kolejno: Trylogia Sienkiewicza, Huragan Gąsiorowskiego, Dewajtis Rodziewiczówny, w dzial zaś książek popularno-naukowych itp. — Pod banderą Syreny S. Salińskiego, Człowiek ustokrotniony Van Loona i Łodzią żaglową przez oceany Voosa.

CIEKAWE CYFRY.

Gdynia 13-tym portem świata.

Pracę każdego portu najlepiej poznać można i ocenić, obserwując ruch statków, przychodzących i wychodzących zeń na morze. Częstotliwość połączeń komunikacyjnych oraz wzrastająca liczba statków zachodzących do portu, jest właściwym miernikiem oceny ruchliwości ognisk portowych, do rzędu których zaliczyć należy także port gdyński.

Według obliczeń wydziału Statystycznego Komisariatu Rządu w Gdyni, przeprowadzonych w stosunku do pracy 47 najważniejszych portów świata, Gdynia zajęła w r. 1937 — 13-te miejsce pod względem ilości zawijających do niej statków.

Port gdyński wyprzedzają pod tym względem tylko Rotterdam, Londyn, Hamburg, Antwerpia, Kopenhaga, Marsylia, Pireus, Liverpool, Nowy Jark, Malmoe, Singapur, Gdańsk.

Pod względem tonażu zawijających statków Gdynia znajduje się jednak na 35-tym miejscu.

Polska uboga w lasy, a zasobna w węgiel.

Podczas, gdy Rosja Sowiecka ma 944.906.000 ha lasów, Kanada 298.221.000, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej 200.677.000, Indie Brytyjskie 79,755.000, Finlandia 25,264.000, Szwecja 23,181.000, Japonia 23,023.000, Niemcy 12,948.000 (obecnie przybyło jeszcze Niemcom 3,138.000), Francja 10,559.000 ha lasów, Polska, według stanu z roku 1936, ma tylko 8,536.000 ha. Znajduje się więc na dziesiątym miejscu pod względem powierzchni lasów. Pod względem zapasów węgla zajmuje natomiast szóste miejsce. Zapasy światowe węgla są szacowane na 5.341 miliardów ton, na Stany Zjednoczone Am. Półn. przypada 2.736 miliardów, Kanadę — 666, ZSSR — 600, Chiny — 217, Anglię — 190, Niemcy — 181, Polskę — 159 miliardów ton.

Z tego wynika, że Polska jest uboga w lasy. Stąd nie powinno się palić drzewem, skoro mamy tak duże zasoby węgla, a drzewa nie wiele.

ZOFIA LEWARTOWSKA

Kazik Dobreć.

(Fragment z powieści „Zawiedzione rachuby").

Przed odjazdem do szkoły, do miasta, grzał się Kazik Dobreć przy nalepie na której buchał ogień i ziemniaki na wieczerzę się gotowały. Grzał się i patrzał, jakby ten ogień w siebie wchłonąć pragnął, by mu ciepło jego wystarczyło na długo i grzało w ciemnym lochu stęchłej piwnicy, w której w mieście nocował.

Matka krzątała się po izbie, to w stajni jeść krowie i świniom dawała, Antek dłubał coś koło uprzęży, którą łatał i naprawiał, bo ze starości i użytku rwała się często, a ojciec paląc fajkę spoglądał na Kazika i rozmyślał.

Skorzystał raz z chwili, kiedy baby w izbie nie było i odzwał się do syna:

— Kazik, widze, ze ci markotno teros do miasto wrocoć. Downiej jechołeś s wienksom ochotom.

— Byłem młodszy — rzekł. — Co trzecia, to nie pierwsza klasa. Roboty mam dużo w szkole, a życie ciężkie.

— Pewnie — mruknął ojciec. — Mówiłem jus nieroz matce, ze bochen chlebo no tydzień to mało dlo ciebie, boś urósł i wiencej potrzebujes zjeść. Jale nie urodziło sie nom łońskiego roku ni zyto, ni psenico. Jakasi śnieć sie zuciło i biedujemy my i ty.

— Nie szkodzi, później będzie lepiej — westchnął Kazik.

— Jale kiej? — mruknął ojciec. — Niech sie ino człek roz zodłuzy i no nosienie pozycy, to jus tok prentko nie wylizie s tego, a drugi jus rok nijokiego urodzaju nimo... A dyć tobie tso jus nowe buty i ubranie kupić, a skont to wzionć?!

Kazik milczał i patrzał na buchający ogień na piecu i dołożył do niego gałązek. Posypały się skry, a on uśmiechnął się do swoich myśli.

— Słuchoj! — odezwał się znowu ojciec. — Mozebyś ty zucił te śkołe, bo sie s biedy w mieście zmornujes. Psyńć tutok. Brot mój ciotecny, kowol s Bobrowiec weźmie cie do roboty, do ci buty, ubranie i jeść. Dwo lota bedzie nouki, potem ci do troche i grosiwo, a kiej sie wyzwolis, psyndzies tu do Zulinek, bo my kowolo niemomy.

— Do kowala nie pójdę. Zostanę już w szkole — odpowiedział Kazik. — Nie mam ochoty do kowalskiej roboty.

— Nobiezes ochoty. Tso sie jeno wziąć zetelnie do procy, a nie próżnowoć nod ksionzeckom! Jo ta jus downo matce godołem, ze cie zmornuje w tem mieście.

— Nie zmarnuję się tatulu — rzekł Kazik poważnie — i da Bóg doczekać, wrócę wam to, coście na mnie wydali.

— Wrócis... jokze ty wrócis bidoku! — westchnął. — Jo ta wim, ześ dobry chłopok, ino długo w tej bidzie nie pociongnies i potem cós?

— Muszę dać sobie radę! — rzekł Kazik z zaciętością. — Najgorsza to tylko ta zima. Potem pójdzie łatwiej.

— Cós bedzies robił?

— Będę się uczył.

— O głodzie?

— O głodzie i o chłodzie. Muszę.

Weszła matka i urwała się ich rozmowa. Stary ćmił fajkę, a Kazik patrzał na buchający na nalepie ogień i grzał się.

* * *

Wiosna była dość późna. Ludzie z utęskieniem spoglądali na niebo, na drzewa i ptactwo, wróżąc z przyrody, kiedy ustali się pogoda i kiedy do siewów wiosennych brać się będzie można.

Bardziej od rolników może, wyczekiwał Kazik ciepła i słońca, bo barłóg jego w piwnicy przesiąkł wilgocią i łamać go po kościach od tego zaczynało.

Wielkanocne święta przypadły dopiero z końcem kwietnia i od tego dopiero czasu zrobiło się ładnie na dworze.

Kazik przyjechał do domu w dobrym humorze.

Chodził dużo, lub przed chałupą grzał się do słońca, aby wyszedł z niego ten ziąb, co go miał od zimy w sobie.

Po świętach zaś nie pojechał do miasta, tylko wstawał raniutko i piechotą szedł do szkoły, a potem wracał wieczorami i posiliwszy się ciepłemi ziemniakami, spał smacznie w stajni lub w stodole.

Dziwili się ludzie z Żulinek, że chce się chłopakowi mile tam i mile z powrotem robić piesz każdego dnia. Matka tylko milczała, bo wiedziała, że mieszkania nie ma on czem płacić, a pozostanie w szkole, stało się jej i Kazika manią.

Ojciec natomiast gderał, że szkoda obuwia.

— Zniscys, a potem co bedzie? za cós ci kupie nowe? — pytał.

— Zarobię sobie w lecie — odpowiedział Kazik już z fantazją.

— Gdzies? tutok jeden drugiemu jeno odrobio.

— Znajdę pracę gdziekolwiek — zapewniał Kazik.

— Bajdus se ta zdrów, jale mnie nie zduzys! Jo ci jesce roz powiodom, ze lepij byś do kowolo posedł i czosu nie mitrenzył!

* * *

Na lato nie wrócił Kazik do domu. Dostał się bowiem do kamieniołomów i robił tam na dniówkę z kolegą swoim Bronkiem, którego ojciec był tam dozorcą. Fizyczna praca hartowała chłopaka i wyrabiała w nim siłę.

Dzień przed rozpoczęciem szkoły, zjawił się w Żulinkach, w nowych butach i ubraniu.

Być gospodynią.

To znaczy co dzień w trudzie, w pocie czoła,
Ręce swe aże po łokcie urobić,
Wszystkie swe siły w ciężką pracę włożyć
Jako ta złota pracownica pszczoła.

To znaczy w chacie porządek wzorowy,
Mąż, dzieci, czysto ubrani i schludnie,
To znaczuy nie znać co to jest południe
Lub wypoczynek w te długie wieczory.

To znaczy drugim dawać dobre rady,
To nigdy za nic nie żądać nagrody,
To chleb dać głodnym — a spragnionym wody,
Z nikim nie szukać kłótni ani zwady.

To znaczy kochać swojskie lasy, pola,
Nie zwątpić nigdy o lepszej przyszłości,
Dodając drugim otuchy, ufności,
Mimo, że w progu gorzka stoi dola.

To pilnie okiem wodzić dookoła —
Uśmiech dla wszystkich mieć jak promień słońca,
Głosu Ojczyzny słuchać, gdy nas woła
I w wierze Ojców wytrwać aż do końca!

Jadwiga Gizowska.

Matka ucieszyła się nim serdecznie i ojciec był kontent, że zdrów i na odzież sobie zarobił, a Antek podziwiał brata, bo on na morgach niby siedział i pracował przecie, ale za to jadł tylko, a wszystko miał na sobie łatane.

Kazik pocieszył jeszcze rodziców wiadomością, że na podstawie dobrego świadectwa z trzeciej klasy, przyjęto go do bursy za małą opłatą, którą uiszczać będzie z dawanych przez siebie korepetycyj.

Matka aż ręce złożyła z radości i z wdzięcznością spojrzała w niebo.

* * *

Mijały lata. Kazik mieszkał w bursie, uczył się, dawał korepetycje, a przez lato pracował zawsze w kamieniołomie, zarabiając na odzież i książki, a czasem kupił nawet matce chusteczkę na głowę, którą jej przywoził w prezencie przed rozpoczęciem roku szkolnego.

Tak doszedł do matury i zdał ją gładko. Po maturze wybierał się znowu do kamieniołomu.

— A pocóż już — zapytał go Bronek, kolega i przyjaciel jego od trzeciej klasy.

— Potrzeba mi przecież pieniędzy — odpowiedział. Pójdę na Politechnikę — rzekł ze stanowczością w głosie.

— Zawsześ był dziwakiem! — zawołał Bronek. — A zdajesz ty sobie chłopie sprawę z tego, że tam tyle lat trwa nauka i nie ma bezpłatnej bursy dla studentów?

— Dam sobie radę — odpowiedział Kazik.

— Mam w Bogu nadzieję, że się odmyślisz, upewniał go Bronek, — a skosztowawszy smaków nędznego życia studenckiego, zapukasz jako syn marnotrawny do seminarium, gdzie wprawdzie podobno też nie ma pańskich wygód i cieńko jeść dają, ale dają!

— Nie doczekasz się tego — rzekł pewny siebie Kazik.

— Zobaczymy! — zaśmiał się Bronek. — A teraz bądź zdrów! Jadę na wywczasy, a potem przedzierżgnę się w czarną sukienkę i będę już spokojny do końca życia.

— Mylisz się, jeżeli sądzisz, że pracy będziesz miał tam mało — zwrócił mu uwagę Kazik — pamiętający ciężki obowiązek duszpasterski Pawełka Dobrecia, który musiał w nocną zadymkę wyjechać do chorego i śmierć go w drodze zaskoczyła.

* * *

Torem kolejowym mknął pociąg osobowy, przebiegając trasę zachodniej połaci kraju. W przedziale drugiej klasy siedziało dwóch panów z gazetami w ręku, prowadząc ożywioną rozmowę. W jakiś czas potem jeden z nich pokazał towarzyszowi okolicę, wśród której znajdowała się wieś. Zwykła polska wieś z kościółkiem i białemi chatami, a że to jesień była, drzewa okalające budynki nie miały liści.

— To są Żulinki — rzekł — w których się Dobreć Kazimierz urodził.

Towarzysz patrzał zdziwiony na smutny krajobraz jesienny, w obramowaniu którego ubogo przedstawiała się wieś Żulinki. Wzruszył też ramionami i odpowiedział:

— Trudno doprawdy uwierzyć, że w takiej prostej chacie on się urodził! Skąd się w tym ludzie biorą czasem takie zdolne, wprost genialne nawet jednostki?!

— Nie są tak zdegenerowani kulturą jak my — uśmiechnął się towarzysz jego. — Reprezentują oni pyszny, zdrowy materiał o świeżym, niewyeksploatowanym mózgu, nie obarczonym dziedzicznie intelektualną pracą całego szeregu generacyj, która u nas powoduje pewien zanik sił. — Oni zaś stają się teraz coraz częściej ożywczą szczepionką naszego życia społecznego, przyczyniając się do rozwoju w kształtowaniu się nowych warunków bytu i wszelkich przeobrażeń dzisiejszej doby, które wymagają specjalnej tężyzny fizycznej i duchowej.

* * *

Pociąg mknął w dal. Zniknęły z oczu białe, ubogie chałupy Żulinek.

W GOSPODARSTWIE I NA ROLI

Pszczelarstwo.

Pszczelarstwo to wielka gałąź przemysłu gospodarczego Polski, gałąź, która może zatrudnić kilkaset ludzi i dać dość wielki dochód. Jednak nie jest dostatecznie wykorzystane i nieco zaniedbane, opuszczone. Nasuwa się pytanie, dlaczego tak jest? Otóż jest to następstwem braku zrozumienia i zamiłowania rolnika do hodowli pszczół. Oglądając nasze wioski i zagrody z przykrością stwierdzić trzeba, że pasieki racjonalnie prowadzone można zobaczyć tylko u ludzi inteligetnych. Poza tym można tu i ówdzie zobaczyć coś, co grzech nazwać pasieką. Kilka kłód słomą krytych, wśród pokrzyw i to nazywa się pasieką u rolnika gospodarza. Kto więc powinien być pszczelarzem? Pszczelarzem powinien być małorolny, bo on nie ma roli pod dostatkiem, a hodowla pszczół nie wymaga majątku tylko trochę sprytu i zamiłowania. Ktoś powie, że się nie opłaca hodować pszczoły, to jednak nie jest prawdą, bo pasieka opłaci się w najgorszych nawet warunkach. Gospodarz posiadający 10 pni, które w normalnych warunkach dadzą około 100 kg miodu po zł 2.50 za kilogram, otrzyma rocznie 250 zł. Jest to dochód uzyskany bez żadnego nakładu pracy, a co najważniejsze nie wymaga to obszaru ziemi, ale trochę czasu, którego rolnik małorolny ma zwykle dość. Powie ktoś, że ule kosztują, tak , ale trzeba sobie przypomnieć, że prócz miodu pszczoły dają roje, które kosztują od 5 do 10 zł, a ul można wykonać samemu ze słomy lub desek, tylko trzeba się zapoznać ze sposobem budowy. Co do kupna pni i prowadzenia pasieki napiszemy. *Tees.*

Początek pracy pszczół.

W miarę, jak słońce z dnia na dzień dłużej i silniej przygrzewa, pszczoły sposobią się do pracy. Matka pod wpływem większego natężenia ciepła w gnieździe (z 12,4 st. zimą na plus 35 do 36 st. Celsjusza na czerw) składa pierwsze jajka. Część robotnic przeto oczyszcza komórki na czerw; inne, nieliczne na razie, śpieszą do lasów na wiązy i leszczynę po pyłek. Borykają się wszystkie z kapryśną w tym czasie pogodą dnia, i pokaźny ich odsetek ginie w drodze od zimna. Z tych, co zdołały wrócić przed ul, wiele nieraz nie może wejść do gniazda, gdyż zimne fale wiatrów spychają je z mostka ula na ziemię i miotają nimi jak liśćmi. Leżą wtedy pod pasieką setki najpracowitszych robotnic z pyłkiem na różkach. Pszczelarz, który wyłożył przestrzeń wzdłuż pasiek piaskiem teraz łatwo je dostrzega na białym tle, zbiera, ogrzewa na ciepłej płycie i wynosi przed pasiekę. Wartość każdej pszczoły w tym czasie jest wyjątkowa.

Niektórzy pszczelarze starają się zapobiec zbyt pochopnemu wylotowi pszczół wczesną wiosną na pożytek i w tym celu zasłaniają oczka deseczkami. Ma to ten skutek, że światło dnia słabiej przenika do gniazda pszczół, a promienie słoneczne załamują się o nową zasłonę. Inni w to miejsce odwracają ule frontem na wschód. Sposoby te są mało celowe, gdyż czuła pszczoła uzależnia lot swój przede wszystkim od temperatury.

Jak buraki uprawiać.

Ściśle biorąc, dopiero po wojnie, gdy zaczął się ruch w produkcji buraka pastewnego, który jak się okazało mógł wydawać nawet 800 i więcej kwintali z hektara, i kiedy zaczęto zwracać baczniejszą uwagę na tę cenną paszę, tak ważną przy produkcji mlecznej, przypomniało się niektórym opiekunom naszego rolnictwa, że może dobrze było by zwrócić baczniejszą uwagę mniejszych gospodarzy na plantowanie cukrówki. To też będziemy mówić o uprawie buraków nie odróżniając, czy chodzi tu o buraki pastewne, czy cukrowe, gdyż wymagania co do uprawy i nawożenia są równe. Kiedy mówimy dziś o uprawie buraka, to musimy przyjąć, że na jesieni rola została doprawiona i że obornik został wywieziony i przyorany. Mogło być tego obornika nieco skąpo, gdyśmy się słusznie wstrzymywali na początku jesieni od zbyt obfitego słania pod inwentarz, ale to już nie da się teraz obornikiem wyrównać, jeśli mamy na uwadze potrzebę obornika pod kartofle. To też poza możliwością dopełniania braku obornika za pomocą kompostu, należało by przejść pole włóką, jak tylko to się da na wiosnę zrobić i rozsypać na 1 hektar 100 kg azotniaku 21%. Oprócz azotu nie można bowiem pominąć dawki supertomasyny, której normalnie stosujemy 100 kg na 1 hektar. Zamiast azotniaku i supertomasyny stosowanych osobno, można dać również 250 kg supertomasyny azotniakowej na 1 hektar. Plon buraków cukrowych rzadko dosięgnie, przy najstranniejszej nawet uprawie 450 kwintali, a przecie to maksimum plonu cukrówki daleko rzadziej się trafia, niż plon buraka pastewnego, dochodzący często do 800 kwintali, przy tym burak cukrowy ma większe wymagania co do rodzaju ziemi i jej sprawności, niż burak pastewny. Na ziemiach np. bujnych — lecz już nieco sapowatych — gdzie burak pastewny da jeszcze znakomite wyniki, cukrówka zaczyna zawodzić, przynajmniej w tym znaczeniu, że burak bywa niekształtny — pusty w środku, wyrośnięty w liść, a więc i dla cukrowni mniej pożądany.

Co się tyczy szczegółów uprawy, to po zasiewie buraka w rzędy w odstępach 40—45 cm siewnikiem, albo ręcznie na nie wysokich redlinkach musimy zasiew ten mocno zwałować, by docisnąć wilgoci do nasion i przyspieszyć ich skiełkowanie. Nasienia wychodzi na ha około 25 kg. W razie ulewnego deszczu i zasklepienia się roli trzeba skorupkę natychmiast zniszczyć. Gdy burak wzejdzie, należy rozsiać obok rzędów buraków 50—75 kg saletry wapniowej na 1 hektar. Gdy zacznie wypuszczać drugą parę listków, trzeba go przerywać, i to z całą uwagą, by pozostawione tylko pojedyncze roślinki znajdowały się w odstępie 15—18 cm na redlinie. Po czym sypiemy okółkiem około każdej rośliny po trosze saletry wapniowej lub sodowej. Wychodzi saletry około 50—75 kg na hektar. Jeśli się okaże, że trzeba ratować buraki przed chwościkiem, chorobą, która polega na usychaniu zewnętrznych liści buraków, należy dać w drugiej połowie czerwca lub do połowy lipca trzecią dawkę saletry wapniowej w ilości ok. 100 kg na 1 hektar, dzięki której buraki lepiej przechodzą tę chorobę. Zresztą stale trzeba chronić plantację przed zaskorupieniem i przed chwastem, stosując gracowanie dopóki burak gęsto pola nie zarośnie. *Inż. Rut.*

Porady praktyczne.

Uprawa lucerny siewnej.

Królową roślin pastewnych jest bezwzględnie lucerna siewna. Wymaga ona jednak gleb lepszych, głębokich, wolnych od wody zaskórnej, czystych i zasobnych w wapno. Przed założeniem lucernika należy rolę uprawiać okopowymi, następnie zwapnować dając 30—40 q wapna palonego w stosunku na 1 hektar, a mniej więcej na tydzień przed wysiewem dać obfite nawożenie, wynoszące w stosunku na 1 hektar: 250—300 kg supertomasyny 30% i 300—400 kg soli potasowej 20%.

Jako roślina motylkowa, obchodzi się lucerna bez nawożenia azotowego, wdzięczna jest jednak za małą dawkę saletry wapniowej, wynoszącej 50 kg na 1 hektar, którą daje się krótko po wzejściu; dawka ta dostarczy lucernie azotu w okresie początkowym, dopóki na korzeniach nie rozwiną się bakterie, pobierające azot z powietrza.

Chcąc, by lucernik dobrze plonował przez dłuższy szereg lat, należy go corocznie zasilać fosforem i potasem, dając wczesną wiosną przed bronowaniem czy drapaczowaniem na 1 hektar 100 do 150 kg supertomasyny 30% i 200—300 kg soli potasowej 20%.

Podstawowy nawóz dla kapusty pastewnej.

Kapusta pastewna zyskuje obecnie coraz większe rozpowszechnienie. Udaje się ona na ziemiach próchnicznych, dostatecznie wilgotnych. Zasilona obornikiem i nawozami pomocniczymi może wydać z hektaru około 700 q zielonej masy, zawierającej 630 kg białka.

Kapustę sadzi się z rozsady w rzędy co 60 cm, a w rzędach co 50 cm; spasa się od połowy października do końca grudnia lub do połowy stycznia, obrywając w miarę potrzeby liście, zaczynając od dołu.

Nawożenie podstawowe (stosowane na 3—4 dni przed sadzeniem) w stosunku na 1 ha wynosi: około 80 kg azotniaku 21%, 100 kg supertomasyny 30% i 300 kg soli potasowej 20%. W czasie wzrostu (najlepiej wkrótce po przyjęciu się rozsad) zasilamy dodatkowo saletrzakiem lub saletrą wapniową w ilości około 150 kg na 1 hektar. Dzienna dawka kapusty pastewnej na krowę wynosi do 45 kg.

Oczyszczanie wody w studni wiejskiej.

Jeżeli woda w studni nie odpowiada wymaganiom ustawowym i technicznym, na ogół możliwe jest oczyszczenie przez specjalne urządzenia. Oczyszczanie wody z głębszych warstw ziemi przeważnie jest łatwiejsze, niż usuwanie zanieczyszczeń bakteriologicznych, zachodzących często w wodzie z górnych warstw. W wypadkach kiedy woda nie jest odpowiednia, należy bezwarunkowo zwrócić się do firmy specjalnej o poradę. Wszelkie urządzenia filtracyjne konstrukcji domorosłej mogą prędzej lub później działać w wyższym stopniu szkodliwie, niż dodatnio.

Wylęg jaj kaczych.

Wylęg jaj kaczych nie różni się wiele od wylęgu jaj kurzych. Jedynie okres wysiadywania jaj kaczych trwa dłużej niż kurzych, bo 27—28 dni. Ponadto przy wysiadywaniu jaj kaczych należy uwzględnić w większej mierze wilgotność.

Gdy na jajach kaczych siedzi sama kaczka, wówczas wilgotność jest zapewniona — kaczka bowiem schodząc z gniazda idzie do wody i po kąpieli wraca mokra na gniazdo. Natomiast gdy jaja kacze podkłada się kurze lub indyczce, należy przed powrotem nasiadki do gniazda zlekka skrapiać jaja ciepłą wodą. Czynić to należy począwszy od 18 dnia wysiadywania. Najlepiej jest, gdy gniazdo znajduje się wprost na ziemi, obstawione kilku cegłami, ułożonymi na płask; wówczas warunki wilgotności są lepsze oraz łatwiej jest kaczce schodzić i wchodzić do gniazda. Trzeba też pamiętać, iż kaczka wysiaduje najlepiej w miejscu, gdzie znosiła jaja. Odpowiednio też wyściela sobie gniazdo piórami i osłania jaja. Należy wszelako wystrzegać się zbytniej wilgotności w gnieździe, aby jaja nie spleśniały. Zmiana podściółki w razie zbytniej wilgotności jest bardzo wskazana, czynić to należy oczywiście w chwili, gdy nasiadka opuściła gniazdo.

Jaja kacze można sprowadzać pocztą, podobnie jak jaja kurze, aczkolwiek znoszą one gorzej transport, wskutek czego procent wylęgu bywa mniejszy.

Można też stosować sztuczny wylęg jaj kaczych — z tym zastrzeżeniem, że do aparatów wylęgowych należy używać jaj bardzo świeżych, nie starszych niż 5-dniowe, podczas gdy przy wylęgach naturalnych można używać jaja i starsze. Temperatura w aparacie wylęgowym wynosić winna 39 stopni Celsjusza. Ze względu na stosunkowo szybsze parowanie jaja kaczego wskutek większej porowatości skorupy — należy zwrócić specjalną uwagę na zwiększenie wilgotności w aparacie wylęgowym, co daje się osiągnąć drogą wprowadzenia gąbki namoczonej w wodzie i opryskiwania jaj od 18 do 25 dnia wylęgu.

Klucie kacząt na ogół bywa nierówne i przeciąga się nieraz dość długo, należy więc zachować daleko posuniętą cierpliwość.

Jak nawozić zboża w porze wiosennej azotem i fosforatem.

Pszenica ozima wymaga do normalnego wzrostu stosunkowo dużych ilości azotu, a w większości wypadków gleby nasze są tak mało zasobne w ten składnik pokarmowy, że bez dodatkowego zasilenia nawozami azotowymi trudno byłoby osiągnąć chociażby średnie plony.

Do normalnego wiosennego zasilania pszenicy azotem najlepiej nadaje się saletrzak, który — zależnie od przedplonu — dajemy w ilości 100—150 kg na hektar (50—70 kg na mórg polski) i to najlepiej przed bronowaniem pszenicy. W wypadkach, kiedy bronuje się pszenicę dwukrotnie, można powyższą dawkę podzielić na 2 części i wysiać przed każdym bronowaniem. Jeżeli natomiast pszenica została uszkodzona w czasie zimy przez mrozy i zachodzi potrzeba ratowania jej, to należy zastosować saletrę wapniową — nawóz działający natychmiastowo — w ilości 150—200 kg na hektar (75 do 100 kg na mórg polski) w jednej lub w dwu dawkach.

Żyto sieje się u nas zwykle w dalszych latach po oborniku i dlatego też wiosną normalnie będzie konieczne zasilenie go azotem i to w formie ratujemy dawką około 150 kg saletry wapniowej w dawce 80 do 100 kg na hektar (40—50 kg na mórg polski) możliwie wcześnie. Źle przezimowane żyto ratujmy dawką około 150 kg saletry wapniowej (czyli około 75 kg na mórg polski).

Owies bywa niezmiernie wdzięczny za nawożenie azotowe. Nadaje się pod niego specjalnie dobrze azotniak, który zastosowany we właściwej dawce powoduje bardzo silny wzrost, a plony ziarna i słomy bywają wtedy bardzo wysokie. Owies, siany w gorszych stanowiskach, zwłaszcza po kłosowych, wymaga koniecznie zasiłku azotowego, gdyż inaczej daje lichy plon, a pole pozostawia po sobie bardzo wyczerpane i w bardzo złej strukturze. Dawka azotniaku 21% winna więc wahać się od 100 do 150 kg na 1 hektar (50—75 kg na mórg polski), przy czym należy wysiać azotniak na 3—4 dni przed siewem owsa. Tam, gdzie prócz azotu konieczne będzie również nawożenie fosforowe, stosować należy 250—300 kg supertomasyny azotniakowej na hektar (125—150 kg na mórg polski), przy czym nawóz ten wysiewa się na 3—4 dni przed siewem owsa. Zamiast azotniaku stosować można bezpośrednio przed siewem owsa również saletrzak w ilości 150—200 kg na hektar, a nawożenie fosforowe dajemy wtedy w ilości 100—120 kg supertomasyny 30% na hektar na 1—2 dni przed siewem owsa.

Jęczmień jary winien otrzymać następujące nawożenie: około 250 kg supertomasyny azotniakowej (około 125 kg na mórg polski) na 3—4 dni przed siewem lub też 100—130 kg azotniaku 21% i 100—120 kg supertomasyny 30% na 1 hektar. Można, zwłaszcza na glebach cięższych i zwięzłych, zamiast wyżej wymienionych nawozów, dać również na 3—4 dni przed siewem 100 do 120 kg supertomasyny 30%, a tuż przed siewem lub pogłównie 150 do 180 kg saletrzaku.

Pszenicę jarą nawozimy podobnie jak jęczmień jary.

Uszkodzone zboża jare wskutek suszy, chorób lub szkodników, należy zasilić prócz wyżej wymienionych dawek pogłównie saletrą wapniową w ilości 75—150 kg na hektar w zależności od stopnia uszkodzenia.

Jak wybrać miejsce na budowę studni.

Miejsce budowy studni na parceli budowlanej zależy od sytuacji budynku na parceli. Studnia z reguły powinna się znajdować w pobliżu maszynowni, tak, aby w razie potrzeby bezpośrednio nad studnią mogła być zmontowana pompa, napędzana mechanicznie. Odległość studni wierconej od budynku powinna wynosić co najmniej 1,50 do 2 m, aby możliwe było ustawienie nad otworem wiertniczym trójnoga i wykonanie prac reperacyjnych.



Miejska Komunalna Kasa Oszczędności we Lwowie.

Na posiedzeniu Rady Kasy, które odbyło się w dniu 6 kwietnia br. pod przewodnictwem Prezydenta Miasta Dra Stanisława Ostrowskiego, przyjęto do wiadomości i zatwierdzono przedłożone przez Dyrekcję Kasy sprawozdanie z jej działalności i zamknięcia rachunkowe za rok 1937.

W świetle cyfr, zawartych w sprawozdaniu Dyrekcji za 25 rok działalności tej tak popularnej wśród ludności Lwowa Instytucji Oszczędnościowej rok 1937 staje się dalszym dużym krokiem na drodze rozwojowej Kasy. Wykazany w bilansie Kasy za rok 1937 przyrost wkładów w kwocie przeszło zł 7.5 miliona świadczy wymownie o tym, iż — przy stosunkowo jeszcze nieznacznej poprawie koniunktury — wypracowany przez Kasę w ciągu 25 lat jej istnienia kapitał zaufania społeczeństwa lwowskiego do swej Instytucji oszczędnościowej wiąże stale ludność naszego Miasta z Kasą. — W oparciu o to zaufanie szerokich sfer ludności Lwowa może Kasa spokojnie patrzyć w przyszłość.

Z końcem roku 1937 stan wkładów wynosił zł 56,137.363.32 na 116.074 książeczkach wkładkowych, w porównaniu więc z rokiem poprzednim przybyło 7.710 książeczek oszczędnościowych na kwotę zł 7,565.682.85. Jeśli się przy tym uwzględni lokaty na rachunkach czekowych i bieżących w łącznej kwocie zł 5,931.768.96, to ogólny stan wkładów w Kasie osiągnął na koniec roku 1937 kwotę zł 62,069.132.28.

W roku sprawozdawczym załatwiono w dziale wkładów oszczędnościowych 357.271 stron, czyli przeciętnie 1.191 stron dziennie. Dopisane odsetki w tym roku wyniosły kwotę zł 2,313.735.96.

Równocześnie z rozwojem Centrali wzrasta stale i działalność Oddziałów miejskich Kasy, o czym świadczy stan ich wkładów, który w dniu 31 grudnia 1937 wynosił:

Oddział I. przy ul. Gródeckiej 60, zł 5,476.543.01 na 16.886 ks. wkł.

Oddział II. przy ul. Żółkiewskiej 75, zł 2,642.500.07 na 8.606 ks. wkł.

O ile chodzi o działalność kredytową Kasy, to w dziale pożyczek hipotecznych długoterminowych utrzymał się mniej więcej poziom z roku poprzedniego i stan ich wynosił: 841 pożyczek na kwotę zł 17,163.047.96. Brak żywszej akcji w tym dziale tłumaczy się względami ostrożnej polityki finansowej, która wymaga utrzymania właściwego stosunku kredytów długoterminowych do środków obrotowych, jakiemi Instytucja rozporządza.

Brak odpowiedniego materiału wekslowego na rynku, który po okresie przesilenia ekonomicznego jeszcze nie wrócił do równowagi, wpłynął hamująco na rozbudowę interesu wekslowego, to też stan portfelu wekslowego pozostał również na poziomie roku poprzedniego i wynosił 9.945 weksli na kwotę zł 8,834.563.90. W ciągu roku zeskontowano 42.254 weksli na łączną kwotę zł 29,957.962.85.

W październiku roku 1937 zakończono akcję oddłużeniową dla rolnictwa, która ostatecznie objęła 889 układów na Bank Akceptacyjny na kwotę zł 3,432.871.— oraz 9 układów dobrowolnych na sumę zł 246.453.74.

Osobny dział kredytowy Kasy przedstawia Miejski Zakład Zastawniczy z którego usług w formie drobnych pożyczek chętnie korzystają szerokie sfery publiczności lwowskiej, zwłaszcza niezamożnej, ze względu na to, że Zakład jest najtańszą tego typu instytucją na rynku, albowiem pobiera tytułem oprocentowania swych pożyczek od 14 do 15% w stosunku rocznym, a zatem znacznie poniżej normy 18.5% w stosunku rocznym, dozwolonej ustawą.

W dniu 31 grudnia 1937 roku posiadał Zakład 34.980 zastawów, obciążonych zaliczkami na zł 2,198.412.75. Ogólny obrót kasowy Zakładu osiągnął w ciągu roku kwotę zł 24,192.495.64, a przeciętna wysokość pożyczki wynosiła zł 64.—.

W myśl uchwały Rady Kasy rozdział czystego zysku za rok 1937 w kwocie zł 163.953.95 przeprowadzono zgodnie z przepisami rozporządzenia Prezydenta Rzplitej z dnia 29 października 1934, przy czym do Funduszu zasobowego Kasy przelano zł 139.360.86. Wskutek tego Fundusze własne Kasy służące na zabezpieczenie wkładów wykazują obecnie kwotę zł 6,330.000.—.

Trzeciomajowa kokardka.

Wiosna 1918 roku...

Polski dwór rozgrabili rosyjscy czerwonogwardziści i ukraińscy chłopi. Wdeptane w błoto leżały na dziedzińcu książki Sienkiewicza, Orzeszkowej, Prusa. Drzwi i okna powędrowały do chałup „diad'ków“. Przez ziejące pustką otwory wpadał wiatr, szeleszcząc po parkietowej posadzce strzępami papierów. Fortepian, z którego niedawno płynęły dźwięki chopinowskiej melodii stał w kącie niemy, jakgdyby w zadumie nad tem, jak szybko fala barbarzyństwa zniszczyć potrafi dorobek wiekowej kultury.

Ci, co mieszkali we dworze, rozprószyli się. Jedni ukryli się w mieście, inni ruszyli na zachód, dążąc do swego kraju. Lecz daleka była to droga przez ziemie, nad którymi przeciągnął huragan zniszczenia.

* * *

Cudowny wiosenny ranek. Wokoło bezbrzeżna, zielona równina, pola, łąki, gdzieniegdzie błyszczą w słońcu złocone kopuły cerkiewki w kępie drzew. Cisza przeogromna, jedyny głos to tupot koni i skrzyp wozu, na którym jedzie w świat gromadka wędrowców. Droga pusta — boją się ludzie ruszać z domu. Dziwnie wyglądają w tej pustce słupy telegraficzne, resztki kultury w czasach ogólnej pożogi.

Wóz wjeżdża do wsi, dopędza całą karawanę wozów i wózków. To „wałka“. Chłopi nie wyruszają w drogę w pojedynkę, czekają u skraju wsi, póki nie zbierze się długi sznur wozów, sztuk dziesięć, dwadzieścia, i dopiero z taką karawaną puszczają się w podróż.

„Wałka“ rusza. Słońce podniosło się już wysoko, jak w lecie.

— Bezpiecznie jechać w takiej gromadzie — mówi jeden z woźniców.

— Diabła tam bezpiecznie — odzywa się inny głos. — Zeszłego tygodnia jechało piętnaście fur, na każdej albo „kucopał“ albo karabin. Dojechali do „Krutej Bałki“, aż tu z lasu przy drodze wyskakuje dwóch bandytów. — Stój, ani kroku dalej — krzyczą — zejść z wozów, kłaść się twarzą do ziemi i leżeć cicho, bo inaczej powybijamy was jak psów. — Chłopi zapomnieli o karabinach i kucopałach, spełnili rozkaz, jak małe dzieci. Bandyci pościągali z nich buty, spodnie, odebrali pieniądze, ograbili do czysta.

— Ot! Brał nasz brat ze dworu, teraz biorą od naszego brata...

— Żeby i nam się to nie zdarzyło!

— Może dzisiaj spokojnie będzie, bo ich wczoraj trochę wystrzelali.

— Kto?

— A, tacy sami bandyci, jak oni, tylko z innej parafii. Pobili się o jakąś dziewczynę.

* * *

Minęła karawana „Krutą Bałkę“ szczęśliwie. Nic się tym razem nie stało. Wozy wjeżdżają w lasek — niedaleko już do miasteczka. Kilka bab wbiega pomiędzy drzewa i zabiera się do zdzierania kory z olchy.

— Naco wam tej kory?

— Płótno na spódnice będziemy farbować.

— Ot i baby. Ludzie się mordują, krew się leje, a babom spódnice w głowie!

— Czy się strzelają, czy nie strzelają, a codzień jeść trzeba i goło chodzić nie można.

* * *

Ukazują się pierwsze domki przedmiejskie, typowe ukraińskie chaty, białe, schludne, z czysto wymiecionem obejściem. Im dalej, tem większe domy. Lecz nagle wjeżdża karawana w ulicę jakby wymarłą. Na parkanach i ścianach znaki namazane wapnem lub węglem. Okna powybijane, między stopniami schodków trawa i burzany. Turkot kół budzi dziwne echo.

— Tu żydzi mieszkali — mówi „diad'ko“.

Mieszkali, lecz już nie mieszkają. Przez miasteczko przeszła niedawno fala pogromów.

* * *

Chłopi zostali na jarmarku. Wędrowcy z polskiego dworu jadą dalej na zachód. Jadą przez bezpański kraj, w którym człowiek wilkiem patrzy na człowieka, bo nie wie kto on: szpieg, były dziedzic, carski oficer, czy bolszewik. Z odzienia i miny nikogo poznać nie można, każdy przystosowuje się do otoczenia. I nasi mają na sobie wiejskie „soroczki“ i kaszkiety. Dwaj z nich, to tutejsi Polacy oficjaliści dworscy, a dwaj — lwowianie, którzy powędrowali w świat z karabinami na ramieniu przed czterema laty, a teraz wracają do rodzinnej „Galicji“.

* * *

Dworscy ludzie natknęli się w jednym z miasteczek na znajomych, zostali z wozem i końmi. Lwowianie maszerują piechotą, dróżkami i ścieżkami, by nie wpadać w oczy bolszewikom, którzy w coraz to większych oddziałach ciągną gościńcem na wschód. Uciekają. W oddali grają armaty.

Chłopi wychodzą przed chaty, nadsłuchują: Idą Germańcy. Huk armat coraz bliższy, słychać już grzechot karabinów maszynowych. Dwa dni ciszy, aż pewnego ranka ukazuje się w oddali długi łańcuch niemieckiej konnicy. W kurzu gościńca migają kaski i lance. Wiejskie psy z ujadaniem podbiegły do koni i eskortują szarą kolumnę, która groźnie, w poczuciu swej siły wjeżdża powoli w wiejskie opłotki.

* * *

Niezbyt cieszy lwowian widok pruskich mundurów. Ale jedno jest dobre: bez przeszkód i przygód, których już mają za dużo, wrócić mogą do kraju. Za sobą zostawią chaos dziki i niezrozumiały. Przestaną być obcymi wśród obcych, znajdą się u siebie, wśród swoich.

* * *

Granica. Są już u siebie. Lecz dziwnie się tu jakoś wszystko zmieniło. Niby to kraj polski, a polskiego języka nie słychać. Feldfeble, lajtnanci, cugsfirery wykrzykują coś w gwarze niemiecko-czesko-rusko-chorwackiej. Mówią o deklach, sztrozakach, fasunku, brotzakach, a co drugie słowo: „donnerwetter“. Ponastawiali jakichś baraków, budek wzdłuż całego toru, tu „entlajzungraum“, tam „waszraum“, tam znowu jakieś magazyny. Zasłonili swoimi szopami i budami cały kraj, wypełnili mundurami wsi i miasteczka zanieczyścili swym szwargotem powietrze. Gdzie się podziali Polacy? Ewakuowali ich, czy do więzień pozamykali? Żeby to wreszcie dostać się do Lwowa. Tam będzie chyba inaczej.

* * *

Jest Lwów. Pociąg wjeżdża na dworzec pod okopconą halę.

Na samym wstępie zawód. Zjawili się brodaci, starzy Tyrolczycy, z bagnetami na karabinach, prowadzą całą tę ludzką masę drewnianymi schodkami, których tu nigdy nie było, pod kopułę hali na długi pomost, a stamtąd na plac przed dworcem. Plac nie ten sam co dawniej i aleja dworcowa nie ta sama. Na latarniach, na drzewach pełno desek i tablic, a na nich tyle niemieckich napisów ze strzałkami, że w głowie się mąci. Czy chodził kiedy człowiek środkiem jezdni po Lwowie? A teraz idzie jak w stadzie bydła, a po bokach brodacze z karabinami — jak pastuchy pilnujące stada. Chodnikami suną mundury austriackie, niemieckie, bodaj czy i nie tureckie. Cywilów prawie nie widać. Powietrze wibruje od niemieckiego szwargotu. Czy to Lwów, czy jakieś szwabskie miasto? Co tu się stało przez te cztery lata?

I trzeba było z tak daleka przedzierać się do swoich, by w swoim mieście znaleźć się znów miedzy obcymi?

* * *

Z kościoła św. Elżbiety wychodzą ludzie. Kilka panienek zbliża się do maszerującego oddziału. W ręku trzymają biało-czerwone kokardki i puszki. Na puszkach napis: Na Dar Narodowy 3 Maja.

Mimo sprzeciwu Tyrolczyków biało-czerwone kokardki znalazły się na piersiach kilkunastu Polaków.

A w piersiach uczucie, jakby kamień spadł z serca: to ten sam stary polski Lwów, swoje miasto — jesteśmy między swoimi.

Tad. Fabiański.

J. D.

Kartki z przeszłości Ak. Koła TSL.

Myśl podjęcia pracy nad potrzebą narodowego odrodzenia, nad podniesieniem stanu kulturalnego i umysłowego ludu polskiego, wśród szerokich rzesz młodzieży akademickiej nurtowała od dość dawna. Przez długi jednakowoż czas idea ta, jakkolwiek przez młodzież z zapałem przyjmowana, nie mogła się przyoblec w realne kształty. Wszelkie niemal początkowe poczynania nie dawały rezultatów.

Jeżeli młodzież miała zabrać się do pracy oświatowej poważnie, konieczną rzeczą było powołanie do życia odpowiedniej organizacji, względnie oparcie się w poczynaniach o istniejącą już w starszym społeczeństwie organizację tego typu.

Gdy przeto grono młodzieży, zebrane w dniu 29 grudnia 1897 r. w lokalu Towarzystwa Biblioteka Słuchaczów Prawa UJK we Lwowie zastanawiało się na formą organizacji, oświadczono się za założeniem akademickiego Koła oświatowego w łonie Towarzystwa Szkoły Ludowej.

Hasła, pod którymi skupił nowy zastęp szermierzy oświaty Adam Asnyk, nigdy nie były bez wpływu na młodzież, a zaważył tu również na szali wzgląd praktyczny, mianowicie okoliczność, że statut Towarzystwa w trafnym połączeniu jednolitości administracyjnej i zachowaniu poszczególnych indywidualności nie narażał zupełnie akcji na rozszczepienie i umożliwiał samoistną pracę w grupach lokalnych czy społecznych.

Mając na uwadze powyższe okoliczności komitet założycieli w skład których wchodzili Zygmunt Gargas, Jan Leszczyński, Marian Krauss, Jan Łukasiewicz, Mieczysław Postępski, Zdzisław Słuszkiewicz, Kazimierz Sołtys i Jan Starnawski zwołał zgromadzenie, celem ukonstytuowania Koła. Zgromadzenie to odbyło się 23 stycznia 1898 r. w sali 3-ciej Uniwersytetu, pod przewodnictwem prezesa Koła TSL we Lwowie prof. dr Augusta Balasitsa. Nowoobrany Zarząd z Zygmuntem Gargasem na czele wziął się energicznie do prac wstępnych.

Wydano odezwę do młodzieży, wzywając ją do wstępowania w szeregi członków Koła. Wkrótce już Koło liczyło 188 członków. Można było przystępować do pracy oświatowej. Zarząd Koła postawił sobie dwa zadania do spełnienia: urzeczywistnienie celów Towarzystwa przez szerzenie oświaty wśród ludu polskiego za pomocą słowa żywego i książki oraz przygotowanie członków Koła do pracy oświatowej.

Już w pierwszym roku istnienia założono dwie czytelnie w Rzęśnie Polskiej i Dawidowie. To były pierwsze placówki pracy oświatowej na terenie wiejskim, a liczba ich odtąd stale wzrastała.

W następnym roku zorganizowano dwa kursy dla analfabetów, realizując plan pracy wśród ludności podmiejskiej, którego dalszym etapem były zakładane kolejno w latach 1899, 1900 i 1901 czytelnie dla młodzieży rzemieślniczej na Żółkiewskiem, Zamarstynowie i Janowskiem.

Wielkiej doniosłości była podjęta przez Koło w r. 1901 inicjatywa rozpoczęcia budowy bursy polskiej w Czerniowcach, celem utrzymania i powiększenia silnie wówczas zagrożonego stanu posiadania na Bukowinie. Inicjatywę przyjęło później całe polskie społeczeństwo.

Działalność Koła rozwija się, zyskuje coraz więcej członków, rośnie liczba czytelń. Ilość ich jednak w pewnym momencie zaczyna wzrastać powoli. Praca oświatowa, a zwłaszcza organizacja czytelń, które znajdują pomieszczenie w budynkach szkolnych, spotyka się ze strony władz szkolnych austriackich z dużą niechęcią.

(C. d. n.)

Z życia „mazurów“ w Jabłonówce.

I my „mazurzy“, jak zostaliśmy nazwani przez okoliczną ludność ruską, chcemy raz zająć miejsce na łamach „Naszej Pracy“, by dać znać naszym braciom na zachodzie o nas i o naszej pracy w tej połaci kraju, w której jesteśmy mniejszością.

Na terenie naszej kolonii Jabłonówki Polskiej (koło Buska) liczącej około 80 numerów (w tem 15 rodzin ruskich) istnieje siedem organizacyj a mianowicie Czytelnia T. S. L., Kółko Rolnicze, Koło Hodowców Bydła Rasy Czerwono-polskiej, Koło Hodowców Trzody Chlewnej, Ochot. Str. Poż., Zw. Strz. oraz ostatnio założone przez instr. pow. p. Kopczyńską D. „Koło Gospodyń Wiejskich“.

Młodzi też nie chodzą samopas, alę interesują się pracą organizacyjną. Każdy należy do jakiejś organizacji uczestnicząc w każdem zebraniu. Młodzież do lat 18-tu skupiona w zespołach P. R., przerabia różne tematy konkursowe z dziedziny hodowli, oraz uprawowe. Takich zespołów jest u nas trzy: jeden żeński, a dwa męskie.

Czytelnia nasza T. S. L. powstała jeszcze w r. 1924. Przez pewien czas praca w Czytelni była zaniedbana z powodu braku ludzi chętnych, którzyby tę pracę podtrzymywali i nią kierowali. Dopiero w roku 1937 na propozycje młodzieży i oświadczenie, że chcą być członkami Czytelni T. S. L. i prowadzić prace intensywniej, kier. szkoły p. Małgorzatowicz B. postanowiła zwołać zebranie. W obecności prezesa Koła T. S. L. w Busku p. Balickiego wybrano nowy zarząd w skład którego weszli starsi i młodzi. Czytelnia nasza liczy obecnie 30 członków.

Dążeniem naszem obecnie jest za wszelką cenę pozyskać dla naszej Czytelni T. S. L. odbiornik radiowy, który byłby nieodzownym środkiem oświatowym naszej osady i ośrodkiem większego skupienia się naszej ludności.

Piękosz Piotr, Jabłonówka Polska.



Budowa Bursy T. S. L. w Turce n. Stryjem.

Skarby zakopane, a Komunalne Kasy Oszczędności.

Hasłem, które najczęściej słyszymy jest „oszczędzaj“ i nie ma chyba człowieka, który by się z nim nie zapoznał. Czyta się je często na ulotkach i reklamach, słyszy się wszędzie w mieście, na wsi, w szkole. Co ono oznacza, wie każdy, bo każdy chyba z nas odkłada coś ze swych dochodów, aby miał w potrzebie.

Chodzi o to, w jaki sposób oszczędzać z najlepszym pożytkiem dla siebie i bez szkody dla drugich.

Dawniej, gdy nie było odpowiednich do tego celu instytucyj, ludzie chowali z trudem nieraz uciułane grosze w domach po skrzyniach, różnych schowkach, lub nawet zakopywali w ziemi. Schowki te jednak nie były całkiem pewne i często owoc kilkuletniego oszczędzania ginął przez to, że albo dom się spalił, albo powódź go zabrała wraz ze skarbem, albo też — najczęściej — złodziej lub rabuś go porywał.

Poza tym jeszcze wciąż się zdarza, że przychodzi do miasta jakiś rolnik i chce zmienić pieniądze trzymane od dawna w jakimś schowku, a tymczasem okazuje się, że pieniądze te są już bez wartości, bo wyszły już dawno z obiegu. Właściciel nie miał z nich dochodu przez czas, gdy leżały bezczynnie i traci wreszcie cały kapitał.

Obecnie sposób składania pieniędzy jest całkiem bezpieczny, od kiedy założono prawie w każdym mieście Komunalne Kasy Oszczędności, które w ciągu stosunkowo bardzo krótkiego czasu swej działalności zyskały ogólne zaufanie, głównie przez swój społeczny charakter i swą przystępność dla szerokich mas drobnych ciułaczy.

Nasuwa się pytanie, dlaczego Kasy te nazywamy komunalnymi? Nazwa ta pochodzi od założycieli tych Kas tj. od komunalnych, co znaczy samorządowych związków terytorialnych, a więc miast i powiatów, które tworząc je dla dobra ludności zamieszkującej dane związki wyposażyły je nie tylko w odpowiedni kapitał zakładowy, ale opiekują się ich działalnością i dają im gwarancję za wszystkie złożone w tych Kasach wkłady oszczędnościowe wraz z oprocentowaniem.

Praktycznie przedstawia się to w ten sposób, że pieniądze złożone na książeczkę Komunalnej Kasy Oszczędności, nawet w wypadku jakichś strat Kasy nie mogą przepaść, gdyż gmina miejska czy wydział powiatowy ręcząc całym swoim majątkiem i dochodami, musi wkład wypłacić.

Komunalne Kasy Oszczędności nie tylko umożliwiają wszystkim bezpieczne przechowanie pieniędzy, ale jeszcze dopisują oszczędzającym 4—5 procent rocznie. W ten sposób Komunalne Kasy Oszczędności, zwane krótko K. K. O. dzielą się z wkładcami tymi dochodami, które osiągają przez udzielanie kredytów z wolnej części kapitałów oszczędnościowych. Trzeba bowiem wiedzieć, że z zebranych sum zasilają one kredytem okolicznych mieszkańców, sięgając swą działalnością w najszersze warstwy społeczeństwa.

W Polsce znajduje się obecnie 357 Komunalnych Kas Oszczędności, które przyjmując wkłady już od 1 złotego zdołały zebrać przeszło 700 milionów złotych, a spiesząc z pomocą społeczeństwu, rozprowadziły we formie kredytu około 663 milionów złotych.

Wysokość tych cyfr mówi sama za siebie i wskazuje na rozmiary ich wpływu na rozwój gospodarstwa narodowego w tych okręgach, w których zostały te kapitały zebrane.

Komunalna Kasa Oszczędności jest więc nie tylko stróżem naszych oszczędności, ale również jak dobry przyjaciel i zwróci przechowane u niego pieniądze i w potrzebie udzieli pożyczki.

Dlatego przepisy ustawowe dozwalają, żeby nawet sieroce oszczędności i depozyty były lokowane w Komunalnych Kasach Oszczędności. Ponadto wszystkie władze i urzędy mają obowiązek przyjmować książeczki oszczędnościowe zamiast gotówki jako kaucje i wadia, a komornik lub egzekutor nie ma prawa jej zająć dopóki wkład oszczędnościowy nie przekroczył zł 2.500.—

Niechże zatym nikogo nie braknie w szeregach oszczędzających w Komunalnych Kasach Oszczędności swego terenu, mając na uwadze nie tylko zapewnienie przyszłości sobie i swoim najbliższym, ale równocześnie i to, że przez oszczędność podnosimy dobrobyt w Ojczyźnie i uniezależniamy Ją od kapitałów obcych.

Sklep
Zakładu Gazowego Miejskiego

WE LWOWIE, UL. CHORĄŻCZYZNY 6.

Telefon nr 211-61.

posiada na składzie wszelkie wypróbowane aparaty do użytkowania gazu jak:

KUCHENKI, KUCHNIE, PIEKARNIKI, PRODIGE, PIECE KĄPIELOWE, ŻELAZKA DO PRASOWANIA, PALNIKI I PIECE OPAŁOWE.

Dla przemysłu specjalne taryfy wedle umowy.

W sklepie Z. G. M. można otrzymać wszelkie informacje tyczące:

URZĄDZEŃ, INSTALACYJ I WARUNKÓW DOSTAWY GAZU.

KORZYSTAJCIE Z BEZPŁATNYCH POKAZÓW GAZOWYCH w każdy czwartek po pierwszym o godzinie 17-tej w sklepie PRZY ULICY CHORĄŻCZYZNY L. 6.

BIELIZNA
KRAWATY
KAPELUSZE
RĘKAWICZKI itp.

MAGAZYN MODY MĘSKIEJ **Wacław Czarnecki**
LWÓW, ul. HETMAŃSKA 6. Tel. 108-70.

Komunalna Kasa Oszczędności
powiatu skałackiego
w Skałacie

przyjmuje wkłady oszczędności zabezpieczone pupilarnie oraz załatwia wszelkie czynności bankowe.

KSIĘGARNIE
TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ
LWÓW, UL. BATOREGO 30. — KRAKÓW, UL. ŚW. ANNY 5.
ZAOPATRUJE BIBLIOTEKI:
Kół T. S. L. i Tow. Oświatowych, pedagogiczne, Szkół Średnich, Szkół Powszechnych, Związków i Zrzeszeń, Urzędnicze, teatrów :—: ludowych i amatorskich, zbiorów prywatnych itp. :—:

Komunalna Kasa Oszczędności
powiatu kosowskiego
w Kosowie Huculskim

przyjmuje wkłady — udziela pożyczek.
Zamiejscowe wpłaty P. K. O. Nr 154.778.

HERBATĘ — KAWĘ — KAKAO
w najlepszych gatunkach i po przystępnych cenach poleca:
Edmund Riedl
LWÓW, UL. RUTOWSKIEGO L. 3.
Filie:
Gródecką 74, pl. Unii Brzeskiej 5, Potockiego 38, Łyczakowska 40

Wyścigi konne z totalizatorem

urządzane przez **MAŁOPOLSKIE TOWARZYSTWO ZACHĘTY DO HODOWLI KONI WE LWOWIE**, są największą atrakcją Lwowa. Dla orientacji podajemy daty wyścigów w roku 1938: 8, 11, 14, 15, 17, 19, 22, 24, 26, 29, 31 maj; 2, 5, 6, 9, 12, 15, 18, 19, 21, 23, 26, 29 czerwiec; 2, 3, 5 lipiec. — Oraz w sezonie jesiennym: 1, 4, 6, 8, 11, 13, 15, 18, 20, 22, 25, 27, 29 wrzesień; 2, 4, 6, 9, 11, 13, 16, 18, 20, 23, 25 październik. — Dojazd do toru wyścigowego na Persenkówce tramwajami i autobusami. — Szczegóły w programach dziennych.

WYTWÓRNIA I SKŁAD POMOCY NAUKOWYCH
F. M. ZŁOTNICKI
LWÓW, PASAŻ HAUSMANA L. 8.
Rok założenia 1893. P. K. O. Nr. 500.071.
Telefon 256-29.

Małopolski Związek Mleczarski

jest łącznikiem gospodarczym wsi i miasta. Rolnikowi oferuje wszelki sprzęt mleczarski a odbiera od Niego nabiał. Miastu dostarcza produkty przetwórczości mleczarskiej.

KUPUJĄC
w Małopolskim Związku Mleczarskim
popieramy rozwój gospodarczy polskiej wsi na Kresach Wschodnich.

CAŁA POLSKA GRA
I WYGRYWA W NIEZMIERNIE SZCZĘŚLIWEJ KOLEKTURZE
NADZIEJA
LWÓW, LEGIONÓW 11

GŁÓWNA WYGRANA
1,000.000 zł

MAGAZYN PAPIERU
SCHEX i STENZEL
wł. Marian Zalipka

LWÓW, UL. SYKSTUSKA 2.
Telefon nr 234-30.

SKŁAD I WYTWÓRNIA
przyrządów laboratoryjnych
SPÓŁKA HANDLOWO-PRZEMYSŁOWA
Adolf Pfützner i Synowie
właśc. Inż. Kazimierz i Dr Bolesław PFÜTZNEROWIE.
LWÓW, UL. SŁOWACKIEGO 4. — TELEFON 220-75.

WYDAJE: Zarząd Główny T. S. L. we Lwowie. **Redaktor odpowiedzialny: Tadeusz Fabiański**

Prenumerata: roczna **3 zł,** półroczna **1.50 zł,** kwartalna **0.80 zł.** Konto P. K. O. **506.280** **Opłatę pocztową uiszczono gotówką.**
Ceny ogłoszeń: Cała strona **300 zł,** pół strony **150 zł,** 1/4 strony **75 zł.** Drobne ogłoszenia według umowy. Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów: ul. Czarnieckiego l. 1, I p. Tel. 268-30. **Drukarnia Urzędnicza, Lwów, ul. Zielona l. 7.**